Nr. 5. Maj 1900.

PRZEDŚWIT

MIESIĘCZNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

ROK XX.

Warunki prenumeraty:

5 fr. — 4 sh. — 4 m. — 2 złr. 40 ct. (w kopercie 4 złr.) — 1 dol. — 10 milreisów — rocznie.

Nr. pojedyńczy 45 cent. — 4 d. — 35 fen. — 20 ct. — 10 ct. amer. — 900 reisów.

Adres redakcyi i administracyi:

Józef Kaniowski, 67 Colworth Rd., Leytonstone, London N. E.

LONDYN

Z drukarni Polskiej Partyi Socyalistycznej

Nr. 5. Maj 1900. Rok XX.

PRZEDŚWIT

PO ZJEŹDZIE

Ostatni zjazd doroczny Polskiej Partyi Socyalistycznzj zaboru pruskiego miał zadanie nie tylko rozważyć dotychczasowy stan ruchu naszego w tej dzielnicy Polski i na emigracyi w Niemczech, nie tylko obmyśleć sposoby i środki dalszego rozwoju tego ruchu, ale przedewszystkiem orzec : czy samodzielna polska organizacya socyalistyczna w Niemczech ma istnieć i nadal, czy też należy ją unicestwić.

Wobec takiego postawienia kwestyi V zjazd P. P. S. zaboru pruskiego nabierał wyjątkowego znaczenia. To też, nie wątpiąc ani na chwilę, że ten nowy zamach na istnienie naszej organizacyi zostanie energicznie odparty, z zajęciem nie małem oczekiwaliśmy *zasadniczego* wypowiedzenia się „socyalhakatystów“ w tej sprawie. Wszystkie bowiem dotychczasowe wystąpienia przeciwników samodzielności naszej organizacyi wypływały albo z nieznajomości naszych stosunków, połączonej z szowinizmem narodowościowym, albo z prostego warcholstwa wykolejonych indywiduów, załatwiających obrachunki osobiste zapomocą intryg, skierowanych przeciwko partyi. Zarzutów takich, z którymi możnaby się liczyć na seryo, dotychczas nie wysuwano. Nie formułuje ich również i zaopatrzony w 14 podpisów wniosek poznański, przedłożony zjazdowi. Spodziewaliśmy się jednak, że przedstawiciele tych czternastu mężów przywiozą na zjazd argumenty poważniejsze od gołosłownych twierdzeń i przypuszczeń, zawartych w ich wniosku. Nie doczekaliśmy się tego, niestety! Mało tego, że nie przedstawili żadnych argumentów, ale nawet sam wniosek nie dożył zjazdu, bo go cofnięto, kiedy pani Luksemburg, uważana dotychczas za głównego przeciwnika samodzielności organizacyi polskiej, „poniekąd zatrwożona“ owocami własnej działalności, udała się do Poznania. Z wielkiej więc chmury — mały deszcz, a raczej wcale deszczu nie było, bo pani Luksemburg wytłómaczyła, że poznańczykom „nie chodziło bynajmniej o rozwiązanie P. P. S. jako takiej (jako jakiej?), tylko o znalezienie drogi do skuteczniejszej działalności na polu pracy partyjnej...“ Po cóż więc było żądać „rozwiązania takowej“, jak stoi dosłownie we wniosku poznańskim? — bozia to chyba raczy wiedzieć...

Jest przecież i pewna korzyść dla ruchu naszego z całej tej tak kompromitującej przeciwników P. P. S. sprawy. Oburzenie powszechne na inspiratorów i autorów wniosku, jakie opanowało uświadomionych robotników polskich, świadczy dostatecznie, że organizacya nasza w zaborze pruskim może się już nie bać pokątnych intryg przeciwko jej samodzielności, że ogół robotników-socyalistów potrafi stanowczo odeprzeć wszelkie zakusy, przeciwko P. P. S. skierowane. Dyskusya zaś, spowodowana niefortunnem wystąpieniem „socyal-hakatystów“, pokazała, że towarzysze nasi w zaborze pruskim, pomimo tak niesłychanie trudnych warunków rozwoju ruchu, zupełnie dobrze uświadamiają sobie cele i zadania swej organizacyi jako cząstki ogólno-polskiej armii socyalistycznej. Przyjęcie rezolucyi, przedłożonej przez delegatów zaboru austryackiego kongresowi w Ber-

nie zeszłego roku, a wyraźnie zaznaczającej dążenie do „zjednoczenia wszystkich trzech zaborów w jedną, politycznie i narodowo niezależną całość" jeszcze raz potwierdziło, że proletaryat polski zaboru pruskiego nie da się oderwać w swych dążnościach politycznych od współbraci zza kordonu rosyjskiego i austryackiego. W przemówieniach uczestników zjazdu tkwiła myśl, że uświadomiony robotnik polski i w zaborze pruskim nie uważa „jedzenia, picia i wyspania" za jedyne sprawy proletaryatu; że czuje się obywatelem swego kraju, dba o jego rozwój, cierpi na germanizacyi i ucisku, chce walczyć i o swobody narodowe, nie zniesie, ażeby go traktowano jako „towarzysza niższego stopnia" i, walcząc ręka w rękę z proletaryatem niemieckim o lepszą dolę, pełnym głosem woła: „Niech żyje wolna Polska ludowa!" Wobec tej jednozgodności uczuć i przekonań ogółu najbardziej świadomych towarzyszy wszelkie zamachy na samodzielność polskiej organizacyi socyalistycznej w Niemczech można uważać za raz na zawsze odparte. P. P. S. opiera się dziś już na tak trwałych podstawach, że, gdyby ją zniesiono za pomocą jakiej przypadkowej uchwały, nazajutrz odrodziłaby się ponownie. Musieli to chyba zrozumieć nareszcie i sami przeciwnicy organizacyi polskiej, co uwolni w przyszłości towarzyszy naszych od tracenia energii i czasu na odpieranie bezowocnych wysiłków warcholstwa.

Ze wszystkich spraw, poruszonych na zjeździe, najważniejszą była bez wątpienia kwestya przeniesienia organu P. P. S. — „Gazety Robotniczej" — na Górny Śląsk. Sprawa to nie nowa, omawiano ją już i na poprzednich zjazdach. Wszyscy godzą się na to, że pismo, chcące skutecznie na kraj oddziaływać, powinno być wydawane w kraju, ale praktyczne załatwienie tej sprawy rozbijało się dotychczas o cały szereg przeszkód. Kiedy dawniej mówiono więcej o przeniesieniu „Gazety Robotniczej" do Poznania, to obecnie wszyscy towarzysze nasi w zaborze pruskim godzą się na to, że „Gazetę" należałoby przenieść na Górny Śląsk, gdzie w olbrzymich zastępach górników, hutników i robotników fabrycznych wogóle agitacya socyalistyczna coraz większe robi postępy. Tymczasem na Górnym Śląsku panują stosunki wprost skandaliczne. Z wielkim trudem, po niesłychanych wysiłkach, udaje się tam zdobyć nareszcie lokal dla zgromadzeń, ale i to tylko czasowo i w jednej tylko miejscowości. Sekretaryat robotniczy, udzielający porady prawnej, musi walczyć z mnóstwem szykan, niezmiernie utrudniających jego działalność. Cała korespondencya, nadchodząca do sekretaryatu, jest czytana przez policyę, — fakty zaginięcia listów raz wraz się powtarzają. Można więc sobie wyobrazić, na co będzie narażona redakcya pisma socyalistycznego, przeniesionego na Górny Śląsk. Pomijając już szykany i prześladowania wszelkiego rodzaju, jakie nań spadną niechybnie, kwestya lokalu dla redakcyi i drukarni (boć przecie żadna górnośląska drukarnia nie podejmie się drukowania pisma socyalistycznego) jest pierwszą zaporą, o którą mogą się rozbić wszelkie usiłowania „ukrajowienia" organu P. P. S. Jedyną radą na to jest posiadanie własnego domu partyjnego w którymś z górnośląskich ośródków miejskich, ale wątpimy bardzo, żeby — wobec słabości ruchu — P. P. S. zdobyła się na własny „Dom Robotniczy", chociażby nawet nabyty w drodze udziałów, jak radzili delegaci śląscy na zjeździe. Do tego tsk prędko jeszcze nie przyjdzie, ale w każdym razie wskazaną została droga praktycznego załatwienia sprawy, co do pewnego stopnia zmienia dotychczasową postać rzeczy i każe się spodziewać, że wcześniej czy później „Gazeta Robotnicza" zostanie na Śląsk przeniesiona.

Wobec tego warto już dzisiaj określić, czem będzie i powinna być „Gazeta Robotnicza" wychodząca na Śląsku.

Przed zjazdem P. P. S. zaboru pruskiego w niemieckim dzienniku partyjnym „Leipziger Volkszeitung" ukazały się w tej sprawie dwa artykuły — obydwa napisane przez ludzi, których przyzwyczailiśmy się uważać za głównych wrogów

samodzielności polskiej organizacyi socyalistycznej. Autorem pierwszego jest dr. Winter, autorka drugiego pani Luksemburg.

Dr. Winter mówi, że nikt nie wątpi, iż Górny Śląsk ze swą polską ludnością i swym ruchem partyjnym nieodbicie potrzebuje porządnego pisma partyjnego, tak samo jak nikt nie wątpi, że „Gazeta Robotnicza“ w dzisiejszej formie i przy jej dzisiejszem rozpowszechnieniu nie może sprostać temu zadaniu. W roku 1898 padło na Górnym Śląsku 25.000 głosów na kandydatów socyalistycznych. Cóż wobec tego znaczy 200 — najwyżej 300 prenumeratorów „Gazety Robotniczej“? „A przytem trzeba pamiętać, że wydawnictwo „Gazety Robotniczej“ pochłania rocznie bardzo ładną sumkę, która w przeważającej części płynie z kieszeni towarzyszy niemieckich; ci zaś nie mogą mieć nawet prawdziwego wyobrażenia o tem, jaką korzyść przynoszą ich pieniądze“. Jakościowe ulepszenie pisma, nawet idące w parze z powiększeniem jego objętości, mało tu pomoże. Pismo, przeznaczone dla Górnego Śląska, powinno posiadać górnośląską barwę lokalną — tak jak np. „Katolik“. Takie zaś pismo może wychodzić tylko na Górnym Śląsku. „Zarzutu, że na takiem przeniesieniu „Gazety Robotniczej“ na Górny Śląsk stracą polscy towarzysze w Berlinie, Dreznie, Halli, Hamburgu, niepodobna brać w rachubę. Nie poto wydaje się na „Gazetę Robotniczą“ takie ładne pieniążki, ażeby pozyskać dla socyalizmu polaków, którzy przywędrowują do Berlina i t. d. „Gazeta Robotnicza“ jest, albo powinna być pismem dla agitacyi wśród ludności polskiej w jej kraju. Ludność Poznańskiego i Prus Zachodnich nie tylko nie straci, ale zyska na przeniesieniu „Gazety Robotniczej“ na Górny Śląsk“. W końcu dr. Winter zastanawia się nad kwestyą, czy możliwe jest przeniesienie „Gazety Robotuiczej“, sądzi, że tak i twierdzi, że to przeniesienie dodałoby P. P. S. nowych sił, przyczyniając się do jej rozwoju.

Pani Luksemburg sprzeciwia się temu, ażeby przeniesiona na Górny Sląsk „Gazeta Robotnicza“ stała się miejscowem górnośląskiem pismem, a to z tego względu, że i Poznańskie i Westfalia z jej górniczą ludnością polską nie mogą pozostać bez organu.

Nam się zdaje, żo przeniesiona z Berlina, jednakowo oddalonego od wszystkich ośrodków robotniczego ruchu p..skiego, „Gazeta“ będzie zmuszona stracić swój charakter dzisiejszy. To oderwanie od gruntu krajowego umożliwia „Gazecie Robotniczej“ zachowanie jej dzisiejszego charakteru centralnego. Tymczasem, przeniesiona na Górny Sląsk, nie mogłaby już ona obsługiwać wszystkich ośrodków ruchu. Sprawy górnośląskie z natury rzeczy zajmowałyby w niej bardzo dużo miejsca, wymagałyby w miarę rozwoju ruchu coraz obszerniejszego omawiania, tak, że sprawy Poznańskiego i Prus Zachodnich zostałyby usunięte na plan dalszy. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę różnicę charakteru ogólnego Księstwa i Prus Zachodnich z jednej strony, a Górnego Śląska z drugiej. I same masy robotnicze, na które „Gazeta Robotniczn“ będzie oddziaływać, i tu i tam są całkiem różne. Drobnomieszczański charakter Poznańskiego wymaga zupełnie innego traktowania aniżeli wielkoprzemysłowy Górnego Śląska. Szewc lub stolarz poznański ma całkiem inne interesy, aniżeli szleper lub hutnik górnośląski. Tu polityka dworska i bezmyślność „ruchu ludowego“, tam centrum i katolikowcy wymagają walki ustawicznej. Inny poziom kultury, inne tradycye, inny układ społeczeństwa, inne stosunki administracyjne i t. d. w każdej z tych prowincyi wprost uniemożebniają wydawanie takiego pisma, które bez krzywdy żadnej obsługiwałoby obydwie, zwłaszcza przy pewnym szerszym rozwoju ruchu.

A więc dwa pisma? Nie inaczej. Dziś wydaje się to nam czemś zupełnie fantastycznem, ale uprzytomnijmy sobie stosunki prasowe w zaborze austryackim z przed kilku lat. Przecież nie tak dawno jeszcze wydawanie „Naprzodu“ jako tygodnika zdawało się czemś bardzo trudnem, a dziś wychodzi on codziennie... Nie przypuszczamy bynajmniej, żeby i w zaborze pruskim — w całkiem innych

warunkach politycznych — ruch socyalistyczny począł robić tak szybkie postępy jak w Galicyi, ale i tam niespodzianki nie są wykluczone; weźmy chociażby tych 25.000 głosów, jakie padły na kandydatów socyalistycznych na Górnym Śląsku przy wyborach r. 1898. Że sam Górny Śląsk będzie w stanie utrzymać tygodniowy polski organ socyalistyczny, to nie ulega wątpliwości. Trudniej to przyjdzie Poznańskiemu, choć pismo, wychodzące w Poznańskiem, odziedziczyłoby zapewne po przeniesionej na Górny Śląsk „Gazecie Robotniczej" przeważającą część jej dzisiejszych prenumeratorów, rozrzuconych po wielkich miastach niemieckich, czem obecnie „Gazeta Robotnicza" głównie stoi.

Sprawa to jednak dość jeszcze daleka, tak samo jak daleką jest droga od uchwały zjazdu, polecającej towarzyszom górnośląskim przeniesienie „Gazety Robotniczej" na Śląsk, do jej wykonania. Tymczasem chodzić nam musi o to, ażeby berlińska jeszcze „Gazeta Robotnicza" obsługiwała wszystkie ośrodki naszego ruchu w zaborze pruskim w odpowiedni sposób.

To mieli na celu towarzysze-delegaci, zgromadzeni na zjeździe, ustanawiając Komisyę prasową przy „Gazecie Robotniczej". Nie przesądzamy działalności tej Komisyi, powstrzymamy się z oceną jej rezultatów dopóki te nie uwidocznią się należycie, co będzie możliwem dopiero po niejakim czasie. Dziś jednak nie możemy nie wypowiedzieć zdziwienia, że w tej komisyi znalazła się osoba, która jest conajmniej nieodpowiednią, a której cała jej dotychczasowa praktyka redakcyjna (tak polska, jak i niemiecka przy „Sächsische Arbeiter Zeitung") nic oprócz nieprzyjemności i zawodów nie przyniosła. Nie mamy żadnych danych do przypuszczania, że pani Luksemburg zmieni swoją dotychczasową taktykę i, zaprzestawszy szkodzenia sprawie rozwoju socyalizmu w Polsce, rozpocznie szczerze pracować na jego korzyść. Natomiast mamy dowody, że i na gruncie zaboru pruskiego nie wyzbyła się szkodliwych narowów, nabytych w niezdrowej atmosferze dawnej „Sprawy Robotniczej" i dawnej „Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego". Zdobywszy obywatelstwo pruskie, p. Luksemburg odrazu rzuciła się w wir intryg, skierowanych przeciwko istniejącej organizacyi socyalistycznej, a jednem z pierwszych jej wystąpień w tym kierunku była agitacya wyborcza w okręgu Wielkie Strzelce-Koźle — agitacya za narzuconą przez socyal-hakatystów kandydaturą osobistości, wykluczonej z P. P. S. Powie kto, że teraz, kiedy wstąpiła do organizacyi partyjnej i tem samem przyjęła na siebie obowiązek służenia partyi, wszystko musi się zmienić. Bardzobyśmy tego pragnęli i gotowibyśmy byli wybaczyć pani Luksemburg jej wszystkie dawne grzechy, gdyby się raz zabrała do szczerej, sumiennej pracy około rozwoju ruchu socyalistycznego. Obawiamy się jednak, że tak nie będzie, ale, oczywiście z wypowiadaniem zdania o tem musimy się narazie powstrzymać. Jedno już przecież możemy dziś podkreślić — to szkodliwy wpływ, jaki p Luksemburg zechce na „Gazetę Robotniczą" — w charakterze członka jej komisyi prasowej — wywierać, dzięki swoim oryginalnym poglądom na to, co uważa za „sprawę klasy robotniczej". Germanizacya, prześladowanie języka polskiego — wszystko to powinno tylko patryotów obchodzić, robotnikom wara do tego. Ci niech dbają o polepszenie płacy i skrócenie dnia roboczego... Zupełnie według recepty „Przeglądu Wszechpolskiego", który politykę uważa za rzecz partyi narodowej, a socyalistom proponuje zająć się związkami zawodowymi, kasami strejkowemi i t. d. i nie wtykać nosa do polityki! W odpowiedzi na takie zdania pani Luksemburg usłyszała na zjeździe, że klasa pracująca nie jest bydlem roboczem, które obchodzi tylko jedzenie, picie i wyspanie. Mamy nadzieję przeto, że dojrzałość polityczna uświadomionych robotników położy tamę szkodliwemu wpływowi pani Luksemburg w tym kierunku, a może nawet i umysłowość pani Luksemburg coś na tem skorzysta...

Że uświadomieni robotnicy i w zaborze pruskim nie pozwolą już na zacieśnienie ruchu socyalistycznego do walki o podwyższenie płacy i skrócenia dnia roboczego, pokazuje najlepiej dyskusya zjazdowa nad sprawą związków zawodowych.

Sprawa to bardzo ważna dla rozwoju naszej partyi w zaborze pruskim, dlatego też warto się tu nad nią nieco dłużej zastanowić.

Partya niemiecka, działając na terenie polskim, stara się przedewszystkiem o przyciąganie proletaryatu polskiego do niemieckich związków zawodowych. Robota ta, prowadzona przez zawodowców niemieckich, odbywa się nierzadko ze szkodą propagandy socyalizmu. Pisma zawodowe, dbając przedewszystkiem o zdobycie jaknajwiększej liczby członków danego związku, unikają wszystkiego, co nie dotyczy bezpośrednio walki robotników z pracodawcami. Ułatwia to niewątpliwie walkę ekonomiczną, formując jednolite szeregi walczących z żywiołów o rozbieżnych częstokroć przekonaniach politycznych, ale opóźnia rozwój świadomości politycznej mas. Że tak jest, świadczą i głosy wybitnych socyalistów niemieckich, zarzucających niejednokrotnie jednostronność ruchowi zawodowemu, doprowadzającą niekiedy do wystąpień przeciwko partyi socyalistycznej, jak to niedawno było np. z organem związku drukarzy. Ta ujemna strona niemieckiego ruchu zawodowego nabiera dla nas jeszcze większego znaczenia ze względu na germanizacyjne tendencye związków zawodowych. Zawodowcy wysyłają do dzielnic polskich agitatorów niemieckich wyłącznie, narzucają robotnikom polskim niemieckie pisma zawodowe, a o obowiązkowe prenumerowanie dla robotników „Gazety Robotniczej" trzeba niekiedy staczać formalne walki. Taki „Górnik" zajmował stanowisko wprost wrogie polakom, a przewodniczący związku górniczego wymagał, ażeby oprócz „Górnika" nie szerzono żadnych innych pism pomiędzy robotnikami polskimi, należącymi do Związku górniczego. Jednem słowem niemiecki ruch zawodowy w dzisiejszej jego formie nie odpowiada interesom proletaryatu polskiego.

Robotnicy polscy w zaborze pruskim potrzebują organizacyi zawodowej, ale ta nie powinna mieć charakteru giermanizatorskiego i nie powinna opóźniać rozwoju świadomości politycznej proletaryatu naszego. Dlatego też, dopóki w zaborze pruskim nie wytworzy się samodzielny polski ruch zawodowy, znajdujący się, ma się rozumieć, w ścisłych stosunkach z niemieckimi związkami zawodowymi, jak to jest np. w Austryi, ale posiadający własne organizacye i organa, robotnicy polscy powinni tworzyć sekcye polskie niemieckich związków zawodowych, domagać się agitatorów i wydawnictw polskich i utrzymywać czucie z P. P. S.

Z przemówień całego szegu delegatów zjazdu widzimy, że sprawa ta tak a nie inaczej jest przez najbardziej uświadomionych towarzyszy rozumiana.

Koniec końców z V-tego zjazdu P. P. S. zaboru pruskiego możemy być zadowoleni. Pokazał on, że ogół uświadomionych robotników całkiem dobrze zdaje sobie sprawę z celów i obowiązków partyi i potrafi zapobiedz szkodom, jakieby mogła spowodować błędna taktyka jednostek.

St. Os...arz.

STAŃCZYKOWSKIE PROJEKTY

Niedawno jeden z najwybitniejszych przedstawicieli stańczykieryi krakowskiej rzekł na zgromadzeniu swoich wyborców: „Minął już czas, kiedy wóz polityki galicyjskiej toczył się na 4 kołach szlacheckich. Dziś zgodzić się musimy z tem, że zostaną nam tylko 3 lub 2 koła, a w dalszej przyszłości może zostać tylko jedno. Dopóki jednak jeszcze trzy koła są w naszem posiadaniu, powinniśmy zabrać się do pracy i wytężyć wszystkie siły, by temu wozowi taką zbudować kolej, taki trwały nadać mu kierunek, by potem już nie łatwoby go było zepchnąć na bezdroża".

Wypowiedzenie się to świadczy z jednej strony, że klika rządząca w Galicyi nie zaniedba niczego, ażeby powstrzymać rozwój polityczny Galicyi, ale z drugiej pokazuje, że szlachta istotnie poczyna tracić pewność siebie, poczyna przyzwyczajać się do myśli, że prędzej czy później nastąpi kres jej bezwzględnego panowania, że przekonanie „możemy być spokojni, jeszcze się nad nami strzecha nie pali", któremu przed paru laty dał wyraz Wojciech Dzieduszycki, zupełnie straciło na wartości.

Bo też istotnie nie brak w ostatnich czasach w Galicyi objawów, mogących zatrwożyć klikę konserwatywną. Gospodarka stańczykowska, sprowadzająca na kraj nędzę straszliwą, złodziejstwa w instytucyach finansowych, masową emigracyę ludu, ucisk polityczny i t. d. aż do tortur samborskich i nowosandeckich, skompromitowana ostatecznie. Niema już człowieka, któryby nie parskał śmiechem, słysząc mowy menerów stańczykowskich o dobru kraju i narodu o pracy około podniesienia dobrobytu i kultury i t. d. Wytarte frazesy o solidarności narodowej na nikogo już nie działają. Spuszczona ze smyczy zgraja jezuicka nie może się pochlubić żadnemi zdobyczami, a kurendy biskupie, mające zniszczyć prasę opozycyjną, służą tej ostatniej wprost za reklamę. Masy ludowe burzą się coraz groźniej, obracając w niwecz wszelkie nadzieje szlachty na zdobycie dotychczasowej liczby mandatów chłopskich. Lud miejski coraz natarczywiej domaga się praw dla siebie, agitacya socyalistyczna staje się coraz bardziej szkodliwą, przenikając w coraz to nowe sfery. Codzienny „Naprzód" rozszerza znakomicie wpływ partyi i daje jej broń skuteczną w walce z prasą szlachecką, „Latarnia" w dziesiątkach tysiecy egzemplarzy przenika do mas, rugując sprośne wydawnictwa jezuickie. Nawet wśród mieszczaństwa, inteligencyi i urzędnictwa budzi się protest przeciwko rządom stańczykieryi; 2.000 głosów, jawnie oddanych w stolicy kraju na socyalistę, to groźne „Mane, Tekel, Fares" panowaniu szlacheckiemu.

Słowem należy się przygotować na to, że szlachcie „pozostanie jedno koło", a więc skończy się jej dotychczasowa rola w kraju, tembardziej, że nie pomagają już żadne intrygi zakulisowe, mające na celu skaptować stronnictwa chłopskie i, włączywszy je do „Koła", zakneblować im usta. Trzeba się przygotować na to, że i w sejmie znajdą się nareszcie przedstawiciele robotników, opozycyoniści, niczem nie dający się ugłaskać, a mogący pociągnąć za sobą całą włościańską i nawet mieszczańską opozycyę.

Cała praca stańczyków w ciągu ostatnich dwóch lat skierowaną jest ku temu, ażeby zabezpieczyć się wobec przyszłości. Jeszcze ani jeden socyalista nie wtargnął do sejmu, a już ukazuje się „lex Urbański", dająca marszałkowi sejmu prawo wymieść opozycyę za drzwi sejmu. Rozbicie demokracyi sejmowej na dwa odłamy, kaptowanie posłów chłopskich — wszystko to ogniwa tego samego łańcucha, mającego przykuć kraj na czas jaknajdłuższy do rydwanu szlacheckiego.

Ostatnia sesya sejmowa, zakończona na początku maja, zapełniona jest usiłowaniami stańczykieryi w tym samym kierunku.

Oto naprzykład próba zupełnego zgnębienia opozycyi chłopskiej za pomocą osławionej lex Hupka — próba szalona, świadcząca o tem, że szlachta nie zdaje sobie sprawy z rzeczywistej siły ruchu ludowego i dobrowolnie rozdmuchuje płomień, mogący objąć i zniszczyć ją samą.

Lex Hupka składa się z dwóch wniosków. Pierwszy ma na celu wytworzenie majoratów włościańskich. Każdy właściciel zagrody, przynoszącej 50—500 złr. dochodu katastralnego, może zgłosić ją jako niepodzielną. Skoro zaś zostanie uznana za taką, niewolno jej będzie nietylko dzielić, ale i sprzedawać częściowo. Przy działach główny spadkobierca spłaca innych pieniędzmi według wartości katastralnej. Ponieważ wartość rzeczywista jest zwykle kilka razy wyższa, przeto główny spadkobierca otrzymuje lwią część, inni zaś tylko odrobiny, nie mogące ich uchronić od przejścia w szeregi proletaryatu bezrolnego. Włościanin, zgłaszający swą zagrodę jako majorat, zostaje zwolniony od dodatku do podatku krajowego oraz podatków gruntowych na lat dziesięć. Przy wyborach do sejmu taki właściciel majoratu miałby głos wirylny — to znaczy głosowałby wprost, bezpośrednio. Drugi wniosek dotyczy posiadłości mniejszych — od 20 złr. dochodu katastralnego. Te właścicielowi ma być wolno przeznaczyć w spadku jednej osobie, a innych spadkobierców spłacić na tych samych zasadach co i przy majoratach. O ile właściciel nie pozostawi testamentu, posiadłość, przynosząca 10—50 złr. dochodu katastralnego, przypada niepodzielnie wyznaczonemu przez sąd spadkobiercy. Prawo to obliczone jest na jedno tylko pokolenie, gdyż nowemu posiadaczowi wolno już zagrodę sprzedać lub podzielić.

Jedynym celem, którego chcieli dopiąć stańczycy, wysnuwając projekt powyższy, jest wytworzenie z jednej strony cienkiej warstwy bogatych chłopów, którzyby z natury rzeczy szli ręka w rękę z konserwatystami, a z drugiej — milionowej masy proletaryatu bezrolnego, z którego rekrutowałaby się niesłychanie tania siła robocza. Gdyby projekt Hupki został przyjęty, łatwo zrozumieć, jak olbrzymia klęska spadłaby na kraj cały. Nie mówiąc już o tem, że wytworzenie konserwatywnej armii chłopskiej na wsi utrwaliłoby reakcyę, doprowadzającą dziś kraj do ostatecznych granic ucisku, nędzy i zacofania, coby zrobiły ze sobą te miliony proletaryatu bezrolnego? I dziś już głodowe iście płace robotników rolnych musiałyby się wobec spotęgowanej podaży jeszcze bardziej uszczuplić. Przemysłu, któryby mógł zatrudnić bodaj część tego proletaryatu, w Galicyi niema. Część jego napłynęłaby do miast, obniżając tam kiepskie zarobki robotników, ale reszta musiałaby albo wyemigrować, albo zginąć z głodu. Dodajmy do tego jeszcze sytuacyę, jaka wytworzy się w łonie rodzin włościańskich dzięki wprowadzeniu zasady majoratu. Ileż to strasznych dramatów rodzinnych, niesnasek, sporów, kłótni musi wywołać wprowadzenie w życie projektu Hupki!

Jednem słowem, z jakiegokolwiek bądź punktu widzenia będziemy oceniali projekt stańczyków krakowskich, zawsze będzie on potwornością, zagrażającą materyalnym i moralnym interesom olbrzymiej większości ludu. Nic też dziwnego, że poruszył on wszystkie uczciwsze umysły i serca całego kraju i połączył w opozycyi nawet tych, którzy dotychczas biernie zachowywali się względem zbrodniczej polityki kliki szlacheckiej. Niesłychanie chwiejna lewica sejmowa, ślamazarni opozycyoniści chłopscy, rusini — wszystko to wzburzyło się jak gdyby od dotknięcia rozpalonem żelazem. Posypały się setki petycyi chłopskich przeciwko wnioskowi Hupki, zaopatrzonych w dziesiątki tysięcy podpisów, prasa opozycyjna podniosła krzyk wielki i — rzecz niesłychana! — w spokojnym, śpiącym sejmie lwowskim, w tej wielkiej szlacheckiej „radzie powiatowej“ padło hasło... obstrukcyi. Demokraci i włościanie zapowiedzieli, że gotowi są chwycić się tego ostatecznego środka, byle udaremnić zamach stańczyków.

I stała się rzecz dziwna. Ta buńczuczna szlachta, której jedynym dogmatem brudny, egoistyczny egoizm klasowy, ta szlachta, niedostępna dla żadnych pobudek idealniejszych, żadnych względów dobra narodu i kraju, stchórzyła nawet tak niepewnej, stawiającej pierwsze kroki, chwiejnej opozycyi zjednoczonej. W łonie „unii konserwatywnej“ nastąpił stanowczy rozłam. Obszarnicy podolscy oświadczyli się przeciwko wnioskowi Hupki, a organ ich, „Gazeta Narodowa“ poczęła zwalczać projektowaną niepodzielność gruntów włościańskich, twierdząc, że gdyby ją uchwalono, to „przyszłoby do takiego buntu, jakiego jeszcze nie było“. Zresztą na Rusi robotnik rolny jest jeszcze tańszy od polskiego, więc szlachta podolska i z tego względu nie kwapi się z popieraniem wniosku stańczyków krakowskich. Koniec końców lex Hupka pogrzebano, odesławszy ten wniosek do Wydziału Krajowego, a marszałek Badeni w mowie, zamykającej sejm, wyraźnie zaznaczył, że z reform tylko takie mogą liczyć na poparcie wydziału krajowego, z których nie wypłynie dla kraju *rozgoryczenie i rozognienie starych sprzeczności.* Tak więc pierwsze energiczne wystąpienie opozycyi zmusiło szlachtę do sromotnej rejterady.

Przeciwko wnioskowi Hupki posłowie chłopscy wnieśli demonstracyjny wniosek, nie mogący rachować na to, by go w tym sejmie traktowano poważnie, ale świadczący, że na zamachy, skierowane przeciwko chłopom, ci ostatni potrafią już odpowiedzieć projektami, bardzo dla szlachty niemiłymi. Wniosek włościański, postawiony przez posła Wójcika, brzmi: „Gromadzenie ustawicznie rozległych obszarów ziemi w ręku jednostki jest szkodliwem dla społeczeństwa zarówno pod względem ekonomicznym, jak i społecznym. Proces ten w Galicyi przybiera już teraz zatrważające rozmiary. Znika średnia własność ziemska, a wzrastają wielkie majątki czyli latifundya, obejmujące ponad 5.000 morgów ziemi. Już obecnie 53 właścicieli posiada więcej niż po 10.000 morgów; ogółem skupili oni w swem ręku już jedną siódmą część kraju, uszczuplając obszar. posiadany przez średnią i mniejszą własność ziemi. Jeżeli się temu wczas nie zapobiegnie, to proces ten coraz większe czynić będzie spustoszenia, wydziedziczanie z ziemi będzie się coraz dalej szerzyło, ze szkodą dla sprawy narodowej, równowagi ekonomicznej i społecznej. Aby temu zapobiedz, Wysoki sejm raczy uchwalić:

1) Sejm uznaje potrzebę oznaczenia największego obszaru ziemi, jaki jednostka posiadać może.

2) Sejm poleca Wydziałowi krajowemu, aby w porozumieniu z c. k. rządem wypracował i na najbliższej sesyi przedstawił sejmowi tak projekt ustawy, oznaczającej cyfrowo ów największy obszar ziemi, jaki jednostce posiadać wolno, jako też projekt indemnizacyi tych obszarów, które więcej ponadto posiadają, jak wreszcie projekt ustawy, która by na przyszłość zapobiegła podobnemu rozrostowi majątków ziemskich ponad oznaczoną granicę.

Wniosek ten podpisali posłowie włościańscy wszystkich odcieni partyjnych — tak polscy jak i rusińscy. Nie jest on bynajmniej socyalistycznym, jak to starały się wmówić swym czytelnikom pisma stańczykowskie, nie mówi nic o unarodowieniu ziemi, nie wspomina nawet, w jaki sposób ma się zużytkować ową nadwyżkę, odebraną właścicielom latifundyów, ale bądź co bądź jest pierwszym śmiałym krokiem we właściwym kierunku. W tej sesyi stańczycy przyjęli wniosek Wójcika głośnym śmiechem, ale niewiadomo, kto się będzie śmiał na końcu, kiedy do sejmu wtargnie żywioł socyalistyczny, który potrafi sprowadzić rozstrzeloną opozycyę do jednego mianownika, nadać jej jeden kierunek, wlać krew gorąca w jej żyły.

Następnym z szeregu sposobów, mających torować drogę wpływowi szlachty nawet wówczas, kiedy będzie rozporządzała zaledwie „jednem kołem“, jest reforma gminna, zaproponowana przez Dunajewskiego i Sanguszkę.

Niema stronnictwa w Galicyi, któreby nie rozumiało potrzeby zreformowania ustroju gminy dzisiejszej, stanowiącego krzyczący nonsens w obecnych warunkach. Wskutek egoistycznej i krótkowidzącej polityki kliki rządzącej oddzielono od gmin obszary dworskie i utworzono z nich osobne jednostki administracyjne, posiadające wszystkie atrybucye samodzielnego ciała prawno-publicznego. To też gminy galicyjskie nie mogły się rozwijać normalnie, — bądź wskutek tego, że są pozbawione znacznej siły podatkowej właścicieli obszarów dworskich, bądź też dlatego, że te obszary, ciesząc się specyalnymi względami władz, zrzucają na gminy wszystkie niemal obowiązki względem służby zdrowia, bezpieczeństwa publicznego i t. d. Rozumie się, że lud cały, a razem z nim ci wszyscy, komu o dobro kraju, nie zaś o interesy kliki szlacheckiej chodzi, domagają się przedewszystkiem zniesienia obszarów dworskich jako samodzielnych jednostek administracyjnych i wcielenia ich do gmin.

Nie tego chcą stańczycy. Oczywiście, że i oni rozumieją, jak potężnem źródłem nienawiści „chat“ do „dworu“ jest dzisiejszy ustrój gminny, ale, chcąc go zmienić, pragną oni nie naprawienia krzywdy, lecz utrwalenia i wzmocnienia swoich wpływów, wbrew interesom masy ludowej.

Wniosek Dunajewskiego i Sanguszki tworzy „gminę okręgową“ — nową jednostkę administracyjną, powstającą z połączenia pewnej liczby istniejących obok siebie gmin i obszarów dworskich, przyczem dzisiejsze gminy i obszary dworskie zachowują nadal swą odrębność. Zakres ich działania jednak ulega ograniczeniu, ponieważ większa część zadań administracyjnych przechodzi na gminę okręgową. Po za tem zmiany dzisiejszego ustroju gminnego sprowadzają się do tego, że dotychczasowy wójt będzie nosił tytuł sołtysa, a rada gminna otrzyma nazwę starszyzny gromadzkiej. Na czele gminy okręgowej stanie naczelnik gminy i jego zastępca, dwaj ławnicy i rada gminna. Naczelnika gminy i ławników wybiera rada gminna, zastępcę naczelnika — starosta; sama zaś rada gminna składa się z 10 członków, których 6 wybiera zgromadzenie starszyzn gromadzkich, trzech — posiadacze obszarów dworskich, a jednego mianuje starosta — i to nie tylko z pomiędzy mieszkańców gminy.

Jestto więc sieć bardzo misterna na zupełne omotanie gminy chłopskiej, która w ostatnich czasach, przynajmniej w Galicyi Zachodniej, budztła się dość szybko i wkraczała energicznie na drogę opozycyi. Szlachta otrzymuje w gminie okręgowej niepospolite narzędzie, które jej będzie służyło całkiem sprawnie podczas wyborów i t. d. Sam już skład rady gminnej daje tego rękojmię. Z pomiędy 10 jej członków trzech wybierają obszary dworskie, a jednego mianuje starosta. Wystarczy więc, ażeby z pozostałych 6-ciu członków, wybranych przez starszyzny gromadzkie, jeden był narzędziem szlachty, a ta ostatnia będzie już miała zapewnioną większość, wybierze jakiego zechce naczelnika i ławników. Wszelka samodzielność gminy jest już z góry wykluczona, gdyż wpływ starosty jest niemal bezgraniczny. Starosta może nakładać na funkcyonaryuszy gminy kary pieniężne— aż do 25 zlr; może w porozumieniu z Wydziałem powiatowym zawiesić ich w urzędowaniu, a nawet — na wniosek wydziału powiatowego — oddalić ze służby. Naczelnika gminy okręgowej może złożyć z urzędu namiestnik, a zastępca naczelnika może być zasuspendowany przez starostę. Projekt stańczykowski zabija więc ostatecznie wszelki samorząd w ścisłem tego słowa znaczeniu, poddaje gminę chłopską władzy szlacheckiej i niszczy doszczętnie wyniki kilkuletniej pracy stronnictw ludowych na polu uobywatelenia i uświadomienia ludu. Projekt ten znakomicie dopełnia lex Hupki. Kiedy ten ostatni podcina egzystencyę ekonomiczną milionów ludu wiejskiego, pierwszy je krępuje niesłychanie pod względem politycznym. Urzeczywistnienie obydwóch tych reform kładłoby kres wszelkim europejskim, kulturalnym formom agitacyi stronnictw

ludowych. Nieszczęśliwemu ludowi pozostałoby chyba jedno: żywiołowe bunty, obracające w perzynę dwory pańskie, topiące krzywdę ludu w krwi jego pijawek...

I ten projekt, podobnie jak lex Hupka, podniecał tylko wzburzenie mas ludowych, które już oddawna setkami tysięcy głosów protestują przeciwko wszelkim próbom szlacheckiej „reformy“ gminnej. Wszystko, co tylko wierzy w lepszą przyszłość kraju, z oburzeniem przyjęło wniosek Dunajewskiego i Sanguszki; nawet konserwatyści podolscy otwarcie wyznali, że dla nich jest niemożliwem przyjęcie tego projektu.

Torując drogi dla przyszłego wozu polityki o jednem już tylko szlacheckiem kole, klika stańczykowska oczywiście wysila się, ażeby ten smutny fakt, — gdyby już miał się stać rzeczywistością — przyszedł jaknajpóźniej. Rozumie się więc, że ani słyszeć nie chce o żadnem rozszerzeniu praw wyborczych na ludność, tych ostatnich pozbawioną. Charakterystyczną jest dyskusya, która wywiązała się w komisyi dla reformy wyborczej nad wnioskiem Romanowicza.

Poseł Romanowicz wniósł projekt ustanowienia piątej kuryi z powszechnem głosowaniem i 30 mandatami. Wniosek został odesłany do komisyi, gdzie zabierali z kolei głos przedstawiciele kliki stańczykowskiej, namiętnie go zwalczając. Prof. Pilat był przeciwny piątej kuryi „gdyż w miastach żywioły kosmopolityczne dążą do osłabienia żywiołów narodowych“; Czajkowski twierdził, że „przy powszechnem głosowaniu zwyciężałby plutokrata lub agitator“, hr. Wojciech Dzieduszycki obawiał się, że „piąta kurya wprowadziłaby możebność awantur w sejmie, żywioły piątej kuryi nie są politycznie dojrzałe, ona roznamiętnia wyborców i oddziaływa źle na inne stronnictwa; książe Czartoryski sprzeciwiał się wnioskowi „ze względów narodowych“; dr. Górski uważa lud za bardzo ciemny i radzi zaczekać, aż inne kraje w Austryi u siebie zreformują prawo wyborcze itd.

W głosowaniu komisya odrzuciła wszystkie punkty wniosku jeden po drugim, ale kiedy przyszło do wyboru referenta, którym by uzasadnił w sejmie wniosek więszgości t. j. przejście nad projektem do porządku dziennego, pokazało się, że nikt nie chce wziąć na siebie ten nieprzyjemny obowiązek. Górski, Skałkowski, Czartoryski, Kozłowski, Górka, Jabłoński — wszyscy tak wymowni w komisyi, odżegnali się od niego, czując, że sprawa reformy wyborczej jest tak aktualna, a ich taktyka tak brudno-egoistyczna, że wprost wstyd już szafować wobec sejmu obłudnymi frazesami „patryotycznymi“, którymi się szafowało w komisyi.

Gdyby opozycyjne żywioły sejmu posiadały więcej charakteru i krew gorętszą, gdyby występowały nie tak tchórzliwie i umiarkowanie, ale ostro i stanowczo, klika szlachecka musiałaby się z nimi liczyć zupełnie inaczej. Świadczy o tem i ostatnia sesya sejmowa, kiedy lewica, zdobywszy się nareszcie na parę kroków szczerze opozycyjnych, odrazu zmusiła szlachtę do rejterady, jak przy lex Hupka, lub do uznania pośredniego, że popełnia niesprawiedliwość, jak w sprawie reformy wyborczej.

Niestety trudno przypuszczać żeby dzisiejsza opozycya stanęła na wysokości swego zadania bodaj podczas tej ostatniej sesyi, która odbędzie się jeszcze przed wyborami. Przecież nprz. stronnictwo ludowe w sejmie jest najbardziej opozycyjną grupą, a tymczasem taki Bojko podpisuje ohydny wniosek Andrzeja Potockiego w sprawie skrócenia zajęć szkolnych podczas robót w polu, ażeby dzieci przy tych ostatnich mogły być wyzyskane. Mało tego — stronnictwo ludowe głosuje za budżetem, przedłożonym przez klikę szlachecką i nakładającym na ludność pracującą nowe podatki konsumcyjne! Taki Romanowicz, najwybitniejszy przedstawiciel demokratów, najspokojniej w świecie uchwala na posiedzeniu Koła sejmowego uznanie i zaufanie dla wiedeńskiego Koła polskiego i daje się wybrać do komisyi, mającej reformować centralny komitet wyborczy, splamiony krwią chłopów! Jak strasznem musi być położenie kraju, jak nieznośnym ucisk

kliki szlacheckiej, jeśli nawet takie żywioły nie mogą wytrzymać i przechodzą do opozycyi, grożąc nawet obstrukcyą.

Że taki charakter opozycyi nie odpowiada istotnemu nastrojowi mas wiejskich i miejskich, to więcej niż pewna. Jeszcze czas jednak. Opozycya ta powinna skorzystać z przyszłej sesyi sejmowej i wystąpić jak na prawdziwą opozycyę przystało, stawiając szereg wniosków szczerze demokratycznych, skierowanych swem ostrzem przeciwko panującej klice, a przedewszystkiem wniosek, dotyczący reformy wyborczej w duchu głosowania powszechnego. Dalsza chwiejność i połowiczność opozycyi doprowadzić może chyba do tego, że najbliższe wybory zmiotą ją z widowni politycznej.

N. I-ski.

Polityka gminna socyalistów belgijskich

Kwestya, którą zamierzamy tu poruszyć, była do niedawna jeszcze traktowana po macoszemu przez socyalistów wszystkich krajów, — z wyjątkiem jednej może Francyi. A i dziś tylko w Belgii możemy się spotkać z konsekwentną polityką gminną, prowadzoną podług ściśle określonego planu. Zjawisko to jest zupełnie zrozumiałe. Zdobycie pewnego stanowiska w parlamentach, walka o powszechne prawo głosowania i o swobody polityczne musi z natury rzeczy poprzedzać walkę z reakcyą w gminach miejskich i wiejskich, — chociażby dla tej jednej przyczyny, że prawo głosu przy wyborach gminnych (i prawo obieralności) było zmonopolizowane przez garstkę wielkich kapitalistów lub wielkich posiadaczy ziemskich i że zatem należało uprzednio wywalczyć w parlamentach reformę gminną. Ale obok tych przyczyn natury politycznej istniała inna — mianowicie ta, która i dziś jeszcze hamuje do pewnego stopnia postępy socyalizmu na tej drodze. Przyczyną tą jest obojętność niektórych towarzyszy na wszystko, co nie wchodzi bezpośrednio w zakres walki parlamentarnej, bo walka ta wydaje im się nietylko najkrótszą, ale i jedyną drogą do zdobycia władzy politycznej. W miarę jednak jak ruch się rozszerza i pogłębia, jak się zwiększa doświadczenie proletaryatu, zaczyna on coraz lepiej oceniać siły swych przeciwników i konieczność walki z nimi *na wszystkich polach.* Dość wspomnieć o tem, że związki fachowe i kooperatywy zaczynają coraz bardziej zwracać na siebie uwagę nawet we Francyi i w Niemczech, gdzie dotąd za mało o nie dbano. Skoro tylko proletaryat zrozumiał konieczność użycia wszelkiego oręża w walce z kapitalizmem, musiał on skorzystać z tego pola działalności, jakie się przed nim otwierało w samorządzie miejscowym. Chcemy tu właśnie przedstawić tę działalność belgijskich towarzyszy i jej dotychczasowe rezultaty.

Do tak zwanych rad, czyli zarządów gminnych weszli socyaliści po raz pierwszy w r. 1895 (po rozszerzeniu prawa wyborczego do gminy), ale weszli odrazu w pokaźnej liczbie 900. W 65 gminach zdobyli większość. Zwycięstwo socyalistów w bardzo wielu gminach było przewidzianem przez klerykałów i liberałów, którzy dotąd byli panami położenia. W bezsilnej swej złości postarali się oni o utrudnienie swym socyalistycznym następcom prowadzenia spraw — w niektórych gminach w ostatnich miesiącach swego urzędowania wprowadzali umyślnie nieład do ksiąg, obciążali gminy długami itd.

Niełatwem było wogóle zadanie socyalistycznych radców. Oprócz umyślnie wprowadzonego nieładu, oprócz wieloletnich, zakorzenionych nadużyć, na które

wyższa władza patrzyła przez palce, stało im jeszcze na przeszkodzie i własne nieuctwo i brak doświadczenia. Rządzenie gminą wymaga wielu technicznych wiadomości, znajomości prawa i zwyczajów prawnych, a tego ogromna większość socyalistów nie posiadała. Tymczasem ze wszystkich stron czyhano na sposobność, któraby pozwoliła skorzystać z tego braku doświadczenia; starano się gorliwie o to, by radcy socyalistyczni popełnili całą moc błędów i zdyskredytowali w ten sposób partyę. Nie brak było przytem i faktów humorystycznych. Tak np w Courcelles 2 stycznia 1896, t. j. nazajutrz po objęciu władzy przez socyalistów, wszyscy urzędnicy gminy — policyanci, pisarze, stróże, nauczycielowie, sekretarz, lekarz — zawiadomili radę, że są chorzy i aż do zupełnego wyzdrowienia sprawować służby nie mogą. Energiczne wystąpienie burmistrza-socyalisty odrazu uzdrowiło ich i przerwało ten oryginalny strejk.

Do niechęci podwładnych przyłączyła się niechęć i zła wola wyższych władz. Postanowienia gminy ulegają zatwierdzeniu t. z. „stałych deputacyi“ (deputations permanentes), czyli wydziału rad prowincyonalnych, i rządu. Rady prowincyonalne obierane są, co prawda, na zasadzie takiego samego prawa wyborczego, co i rady gminne, ale socyaliści nie brali dotąd udziału w tych wyborach, gdyż nie zdawali sobie podówczas jeszcze sprawy z ich doniosłości. Otóż rady prowincyonalne uważają sobie za punkt honoru bronienie „świętego prawa własności“ przed socyalistami przez szykanowanie socyalistycznych rad gminnych. Jak daleko posuwają się one w tym kierunku — to wykazać może następujący fakt. Stary zarząd gminy Forchies przed ustąpieniem swem ustanowił *w drodze polubownej ugody* z właścicielami miejscowych kopalń węgla wysokość podatku, jaki kopalnie te powinny opłacać gminie, i zawarł z niemi kontrakt, gwarantujący, że w ciągu 10 lat podatek ten podwyższonym nie będzie. Kontrakt ten został zatwierdzony przez wydział prowincyonalny i gdy socyaliści, po objęciu zarządu gminy, zaprotestowali przeciw takiemu oczywistemu pogwałceniu prawa, wydział prowincyonalny protest odrzucił. Zarząd udał się do ministeryum. Sprawa była tak jasną, że nawet klerykalne ministeryum musiało kontrakt unieważnić. Nie możemy tu przytaczać różnych nadużyć, popełnianych w ostatnich 4 latach przez prowincyonalne wydziały, dość, że nie było środka, — godziwego lub nie, o to nie dbano, — którego wydziały nie używałyby przeciw socyalistycznym zarządom gmin. Jednym z najczęściej praktykowanych sposobów jest zatrzymywanie przez wydział dokumentów, przysyłanych im przez gminy do przejrzenia lub zatwierdzenia, jeśli dokumenty te odnoszą się do spraw ważnych i pilnych. Wydziały chcą w ten sposób wprowadzić nieład do spraw socyalistycznych gmin i zatamować ich działalność. Np. plan nowych ulic i dróg, które miano urządzać w gminie Souvret (gmina ta leży w okolicy przemysłowej), został zatwierdzony i zwrócony dopiero po 4 latach.

Jeżeli zważymy wszystkie te przeszkody, jakie na swej drodze spotykali socyalistyczni radcy gminni, to nie zdziwi nas, że działalność ich nie wydała dotąd takich owoców, jakich się niektórzy spodziewali. Z trudnościami walczono wytrwale i wiele z nich zdołano już usunąć, tak że na przyszłość praca będzie o wiele łatwiejszą. Największą może przeszkodą był brak wiedzy technicznej i brak znajomości prawa. Otóż, by zaradzić temu, założono „związek socyalistycznych radców gminnych“, którego sekretarz tow. Vinck, obowiązany jest dawać każdemu z członków „Związku“ potrzebne informacye. Sekretaryat, jak to przyznano na ostatnim zjeździe Związku, oddał już znaczne usługi i nieraz powstrzymywał jego członków od nierozważnych kroków lub naprowadził ich na właściwą drogę. Sekretarz oprócz tego redaguje dział spraw gminnych (Bulletin communal) w miesięczniku partyjnym „l' Avenir social“. Dział ten ma na celu informowanie socyalistów o ważniejszych reformach przedsiębranych lub projektowa-

nych w gminach zarówno Belgii, jak i innych państw europejskich. Podaje on również rady prawne w bardziej ciekawych i zawiłych kwestyach.

Przystępowanie do Związku było dawniej pozostawione uznaniu poszczególnych radców. To też zaledwie połowa (450) radców należała do Związku, co ujemnie wpływało na jego działalność. Składki członków zaledwie wystarczały na opłacenie kosztów druku „Bulletin communal", tak, że sekretaryat wcale nie mógłby funkcyonować, gdyby mu nie były przyszły z pomocą dwie socyalistyczne kooperatywy. Wobec takiego stanu rzeczy ostatni zjazd partyi w Lowanium postanowił, że obowiązkiem każdego socyalistycznego radcy jest należenie do Związku.

Rozpatrzmy się teraz w działalności socyalistycznych rad gminnych. Pierwszą i jedną z najważniejszych czynności ich było doprowadzenie do porządku różnych spraw bieżących i rachunków oraz zmniejszenie, o ile możności, długów, ciążących na gminach. Wymagało to wielkiej pracy od ludzi, którzy cały dzień siedzą w warsztatach lub fabrykach (przeciętna długość dnia roboczego w Belgii jest 11 godzin); wszyscy, nawet najzajadlejsi przeciwnicy, muszą im jednak przyznać, że z zadania tego wywiązali się znakomicie. W opinii ogółu „socyalistyczna" gospodarka stała się jednoznaczną z gospodarką uczciwą i oszczędną. Weźmy jeden tylko przykład. W dniu 1 stycznia 1896 r. dług gminy Courcelles wynosił 537 tys. franków, nie licząc 15 tys. fr. zaległych płac urzędnikom gminy. W roku 1899, t. j. po 3 latach „socyalistycznej gospodarki" dług zmniejszył się do 482 tys. fr., t, j. o 10%, pensye wypłacane są regularnie, założono kilka nowych szkół, na cele dobroczynne wydaje się rocznie o 11 tys. fr. więcej, niż dawniej; wszystkie ulice i drogi zostały oświetlone gazem itd. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że socyaliści nie zwiększali podatków, ale doszli do takich rezultatów tylko przez uczciwe administrowanie.

Po doprowadzeniu do porządku finansów zwrócili się do reformy wychowania. Stosunki w tej dziedzinie były dawniej opłakane. Uczęszczanie do szkół początkowych dotychczas nie jest w Belgii obowiązkowem, tak że ostatni spis ludności w 1890 r. wykazał 28% analfabetów. Przed kilkunastu laty istniały coprawda w wielu prowincyonalnych gminach oficyalne szkoły początkowe — rządowe lub gminne, ale z biegiem czasu znaczna część tych szkół upadła lub znajdowała się w najgorszym stanie, bo zarządy gminne, które były w rękach klerykałów, starały się o zniszczenie ich, by w ten sposób zmusić ludność miejscową do posyłania swych dzieci do szkół klasztornych. Średnich zakładów naukowych i szkół zawodowych było bardzo mało, również jak ochronek i szkółek freblowskich. Wszystko to trzeba było naprawić, a szczególnie trzeba było wyrwać młode pokolenie ze szpon księży. To też na tem polu socyaliści rozwinęli gorączkową działalność, zakładając nowe szkoły, lepiej uposażając nauczycieli, budując nowe gmachy szkolne, odpowiadające wymaganiom hygieny itd. Dla przykładu przytoczymy jedną tylko gminę Marcinelles, która w ruchu tym bynajmniej nie przoduje. Gmina ta, leżąca w zagłębiu Charleroi, w krainie węgla i licząca 12 tys. mieszkańców, miała tylko 4 szkoły elementarne dla dzieci i ani jednej dla dorosłych. W tym celu zjechało tam paru wybitnych agitatorów, jak np. Vandervelde i urządziło szereg odczytów, wyjaśniających potrzebę wykształcenia. Skutek był ten, że po kilku dniach szkoła dla dorosłych liczyła 300 uczniów w trzech klasach, a wkrótce musiano otworzyć drugą. Następnie założono szkołę zawodową z 3-letnim kursem: pierwsze dwa lata poświęcone są ogólnemu wykształceniu, w trzecim zaś roku wykłada się przedmioty specyalne dla mechaników, palaczy, górników, rachmistrzów itd. Szkoła liczy już 250 uczniów, w tej liczbie 30 kobiet.

Gdy mowa o szkołach, musimy parę słów nadmienić o dostarczaniu uczniom bezpłatnie książek, kajetów itd. Dawne zarządy wydawały na ten cel dość zna-

czne sumy i pomimo to tylko najuboższe dzieci mogły z tego korzystać. Obecnie wszyscy uczniowie dostają bezpłatnie wszystko, co im do nauki potrzebne, uczniów jest znacznie więcej, prawo to rozszerzono również na szkoły dla dorosłych, a jednak gminy ponoszą mniejsze koszta dzięki temu, że wprowadziły system zupełnie usuwający faworyzowanie oddzielnych przedsiębiorców i inne związane z tem nadużycia, — jak przekupywanie urzędników przez przedsiębiorców itp.

I jeszcze jedno. Prawo pozwala każdej gminie (właściwie zarządowi) wybrać dla swych szkół te lub inne podręczniki; jeżeli jednak gmina tego nie uczyni, to nauczyciel musi się przy wyborze stosować do wskazówek okręgowego inspektora szkół, który naturalnie poleca dzieła klerykalne i wsteczne. By uniknąć tego, a zarazem mieć dobre podręczniki szkolne, Związek polecił komisyi, złożonej ze specyalistów, opracowanie odpowiedniego wykazu dzieł dla różnego rodzaju szkół i tylko dzieła przez komisyę wskazane używane są obecnie w gminach socyalistycznych.

Co się tyczy t. z. „municypalizacyi“ t. j. objęcia przez gminy przedsiębiorstw i prowadzenia ich, to poczyniono w tym kierunku zaledwie pierwsze kroki. Dotąd wykupiono, albo też urządzono kosztem gmin tylko wodociągi, bo towarzystwa oświetlania gazowego i towarzystwa tramwajowe posiadają długoletnie kontrakty. Socyaliści starali się naturalnie o to, by przedsiębiorstwa gminne służyły rzeczywiście ogółowi, a nie stawały się źródłem zysku dla gminy. Napotykali oni jednak tak zajadły opór wszystkich władz, wszystkich sfer wpływowych, że musieli poprzestać na wytargowaniu możliwie największych ustępstw dla uboższej ludności. Np. w gminie Schaerbeck tow. Bertrand zaproponował, by wodę wszyscy dostawali darmo; koszta miały być pokryte przez podatek od dochodu z ziemi. Po długich targach stanęło na tem, że podatek, zaproponowany przez wnioskodawcę, został zmniejszony o połowę, a spożywcy mają płacić po 8 fr. rocznie za określoną ilość wody; jest to w każdym razie postęp, bo dotąd płacono po 27 fr., co najuboższej części robotników zupełnie uniemożliwiało korzystanie z wodociągów.

Socyalistyczne rady gminne zajęły się naturalnie gorliwie kwestyą ochrony robotników. Wprowadzono minimum płacy, maksymum godzin pracy (zwykle 10) oraz obowiązkowe ubezpieczenie. Środki ochronne rozpowszechniono również na robotników, zatrudnianych przez takich przedsiębiorców, którzy wykonują jakiekolwiek roboty na zamówienie gminy.

Takie są, w krótkich słowach, rezultaty 4-letniej działalności socyalistów w radach gminnych. Nie są one wielkie napozór; jeżeli się jednak zważy, ile przeszkód musiano usunąć, ile razy wypadło walczyć z uprzedzeniem i egoizmem wyższych warstw i obojętnością niższych, to i te pierwsze kroki potrafimy należycie ocenić. Na przyszłość uwaga socyalistów musi się skupić przedewszystkiem na zmianie prawa administracyjnego i państwowego i na zdobyciu większości w radach prowincyonalnych.

Co do pierwszego punktu — zmian w prawie państwowem i administracyjnem, — to chodzi tu głównie o rozszerzenie prawa wyborczego i o zezwolenie gminom na tworzenie związków, obejmujących większą liczbę gmin. O prawie wyborczem mówić tu nie będziemy ze względu na brak miejsca, tembardziej, że jest to kwestya zupełnie jasna. Natomiast zatrzymamy się nad związkami gmin. Zarówno sądy, jak parlament pojmują istniejące prawo w ten sposób, że tworzenie jakichkolwiek, chociażby najbardziej luźnych organizacyi, obejmujących 2 lub więcej gmin, jest nielegalnem i wymaga specyalnego w każdym wypadku zezwolenia parlamentu. Krępuje to ogromnie działalność gmin, — szczególnie takich, które mają ruchliwe, dbające o dobro ogółu, socyalistyczne zarządy, bo coraz więcej powstaje spraw, których rostrzygnięcie jest niezmiernie ważnem dla uboż-

szej ludności, a które mogą być rostrzygnięte tylko przez współdziałanie wielu gmin. Wspomnę tu tylko o paru takich sprawach.

Już w lipcu 1895 r. gmina miasta Anderlecht powzięła projekt obowiązkowego ubezpieczenia od ognia; dochody z asekuracyi miały być obracane na utrzymanie straży ogniowej. Wiadomo, że przy wszelkiej asekuracyi ryzyko jest tem mniejsze, im większa jest ilość ubezpieczonych; to też zarząd miasta Anderlecht zaproponował utworzenie w tym celu związku gmin. Propozycyę tę przyjęło — do kwietnia 1899 r. — 50 gmin, liczących ogółem 406 tys. mieszkańców. Gminy te podzielić można na następujące kategorye:

1.	gminy z ludnością mniejszą, niż 1.000 osób	6
2.	„ „ 1.000—3.000 „	15
3.	„ „ 3.000—10.000 „	16
4.	„ „ 10.000—20.000 „	8
5.	gminy, liczące więcej, niż 20.000 miesz.	5

Jeżeli dodamy, że te 5 większych miast (kategorya V) liczyły razem 165 tys. mieszkańców, to wypadnie, że większość (60 %) osób, któreby korzystały z ubezpieczenia, przypada na mniejsze miasta i wsie, a te — jak powszechnie wiadomo — najbardziej cierpią od pożarów i nie są w stanie na własną rękę wprowadzić ubezpieczenia. Naturalnie, że cały ten projekt pozostał... projektem wobec wyraźnego zakazu tworzenia związków.

Teraz drugi przykład. Jedną z najbardziej palących kwestyi jest urządzenie znaczniejszej ilości szpitali na prowincyi. Otóż przeciętna wiejska gmina nie jest w stanie wystawić szpital, ktoryby choć w części odpowiadał wymaganiom teraźniejszej medycyny, i utrzymać lekarza. I tu okazuje się potrzeba związku gmin.

Zdobycie większości w radach prowincyonalnych jest niezbędnem dla wprowadzenia reformy w podatkach gminnych. Socyaliści nie mogą oczywiście pogodzić się z obecnym niesłusznym rozkładem podatków, a tembardziej nie mogą zwiększać istniejących podatków, bo toby zwaliło na barki klasy pracującej jeszcze większy ciężar. Dlatego też żądają wszędzie podatku od dochodów, ale rady prowincyonalne stale odrzucają wszelkie w tym rodzaju projekta, często nie rozpatrując ich bliżej.

Nie możemy rozpatrywać szczegółowo wszystkich reform, jakie w najbliższej przyszłości muszą być podjęte przez socyalistów. Wspomnieć musimy o jednej tylko, dotyczącej opieki nad sierotami, podrzutkami i dziećmi opuszczonemi przez rodziców. Podług prawa opieka ta należy do gmin i jest uregulowana niewielu tylko przepisami. Przepisy te są przestarzałe (prawo wydano w 1811 r.) i zupełnie nie odpowiadają dzisiejszym pojęciom. Wszystkie sieroty, podrzutki i dzieci opuszczone przez rodziców po dojściu do 6 lat muszą być umieszczane u chłopów lub rzemieślników; płaca za ich utrzymanie powinna co roku zmniejszać się. Po dojściu do 12 lat dzieci te mają być oddawane do terminu; kontrakt z majstrem zawiera gmina; majster nie powinien pobierać płacy za utrzymanie ucznia. Oczywista rzecz, że przepisy te nie mogą być ściśle przestrzegane, bo stoją w sprzeczności z warunkami dzisiejszego życia. Dawne jednak zarządy gmin, nie stosując się do nich ściśle, nie korzystały również ze swego prawa kontroli nad ludźmi, którym powierzały los sierot. Te klerykalne zarządy, złożone z ludzi „bogobojnych“, przejętych „chrześciańską miłością dla cierpiących“ oddawały dzieci tym, którzy żądali najmniejszego wynagrodzenia; to też dzieci stawały się ofiarą najwstrętniejszego wyzysku i rosły w otoczeniu brutalnem i nawskroś zdemoralizowanem. Socyaliści od paru już lat zajęli się sprawą sierot, ale dopiero na zjeździe Związku w maju 1899 r. został ułożony plan systematycznej i zorganizowanej działalności w tym kierunku. W różnych okolicach kraju mają powstać zakłady dla sierot, urządzone na modłę wzorowego

zakładu pod Brukselą (t. z. Orphelinat rationaliste); zdolniejsze dzieci mają być kosztem gmin wysyłane do zakładów naukowych; mające usposobienie do rzemiosła i techniki będą umieszczane w „Instytucie przemysłowym“ przy t. z. Nowym Uniwersytecie (Instytut ten został niedawno zreorganizowany i przeszedł pod opiekę partyi). Celem socyalistów jest stworzenie z tych 16.000 ubogich sierot, któremi co roku opiekować się muszą gminy, ludzi zdrowych, wychowanych w zasadach wolności, — stworzenie oddziału tej armii, która walczy o wolność klas pracujących.

Wszystkie te i tym podobne reformy wymagają energii i pracy ze strony radców socyalistycznych, a poparcia — ze strony całego proletaryatu. I proletaryat coraz lepiej rozumie znaczenie tej działalności, coraz żywiej interesuje się polityką gminną. Dowiodły tego ostatnie wybory do rad gminnych, które się odbyły 15 października 1899 roku.

Podajemy tu w cyfrach okrągłych rezultaty tych wyborów:

	w 1895 r.	w 1899 r.
Wszystkich radców socyalistycznych było	900	1.200
Socyaliści zasiadali w radach	200 gmin	300 gmin
Socyaliści mieli większość w radach	65 gmin	120 gmin

Prawnik.

V ZJAZD P. P. S. ZABORU PRUSKIEGO

(Dokończenie*)

Otwierając dyskusyę do punktu II-go porządku obrad, przewodniczący proponuje natychmiast przystąpić do wniosku towarzyszy poznańskich, bo na cóżby się przydało uchwalanie czegoś na przyszłość, jeśli wniosek poznański przejdzie i partya zostanie rozwiązaną. Tutaj wyłoniła się krótka ale namiętna dyskusya.

W końcu p. Luksemburg odpiera zarzuty, czynione towarzyszom poznańskim i oświadcza: wniosek poznański sam mnie poniekąd zatrwożył; gdy się o nim dowiedziałam, czemprędzej udałam się do Poznania, aby towarzyszy skłonić do jego cofnięcia, co się też stało. Na miejsce wniosku zaproponowałam towarzyszom poznańskim następującą deklaracyę, którą jednogłośnie uchwalili. Deklaracya ta brzmi:

„Organizacya socyaldemokratyczna poznańska oświadcza jednogłośnie, iż stoi całkowicie na wspólnym gruncie z Socyaldemokracyą niemiecką tak co do celów ostatecznych jak co do zadań bezpośredniej walki politycznej. Uważa ona dalej, że płodna walka w obronie uciśnionej narodowości polskiej jest całkowicie oraz jedynie możliwą na powyższym gruncie.

„Wychodząc z tego założenia, organizacya socyaldemokratyczna poznańska wzywa Zarząd P. P. S., aby, odłożywszy frazesy narodowościowe, skierował wszelkie siły ku poparciu rozpoczynającego się potężnie ruchu robotniczego w polsko-niemieckich prowincyach, t. j. w Księstwie Poznańskiem i na G. Śląsku.

„Organizacya socyaldemokratyczna poznańska uważa decyzye Zjazdów partyjnych niemieckich dla siebie za obowiązujące i przyjmuje w nich wedle sił i możności udział przez swych delegatów.“

(Głosy: „Nie kijem go, ale drewnem“, „Ni pies, ni wydra“)

*) Patrz Nr. 4 Przedśw. r. b.

P. Luksemburg dalej: Sądźcie wy, towarzysze, jak chcecie, mnie to bynajmniej nie ziębi, ani parzy. Towarzysze poznańscy są niezadowoleni z działalności Zarządu partyi, twierdzą, że nie zrobił 10-tej części tego, co mógł zrobić. Zarzut, że towarzysze poznańscy nie popierają materyalnie partyi, upada wobec tego, że Poznań i Śląsk są celem działalności naszej. Tow. Morawski dowodził, że ruch zawodowy musi mieć charakter socyalistyczny; tymczasem rezultaty, jakie widzimy w Gnieźnie, nie są wcale ponętne, bo tam ani jedno ani drugie nie postępuje. Gdy tymczasem w Poznaniu się rozwinął silny ruch zawodowy, ruch socyalistyczny dużo na tem zyskuje, bo liczba abonentów „Gazety Robotniczej" się podwoiła. Zarzuty i uwagi, czynione przezemnie, nie powinny być przykrością dla partyi, ale bodźcem do energiczniejszej pracy. Deklaracya nasza zawiera życzenie, aby w działalności P. P. S. usunięto frazesy narodowościowe. Wobec dowodzeń i przycinków w półgodzinnej mowie tow. Berfusa nie poczuwamy się wcale do winy. My, jako partya robotnicza, stojąca na gruncie jej najżywotniejszych interesów, powinniśmy podkreślać przedewszystkiem stronę walki klasowej. Niema ani jednego faktu, któryby mówił o jakichkolwiek zamiarach germanizacyjnych ze strony towarzyszy poznańskich. Frazesy w tym względzie ubliżają tylko ich autorom. We wniosku naszym nie chodziło nam bynajmniej o rozwiązanie P. P. S. jako takiej, tylko o znalezienie drogi do skuteczniejszej działalności na polu pracy partyjnej wobec minimalnych rezultatów P.P.S.

Przystąpiono do sprawozdań delegatów.

Tow. Szymański z Bremy: Towarzystwo nasze ma wiele trudności do pokonania ze strony władz, w okolicach na wiecach nie dozwalają nam po polsku przemawiać. Członków liczy towarzystwo 46, abonentów „Gazety Robotniczej" mamy 62. Komitet agitacyjny zebrał 130 marek. Rozpowszechniliśmy 600 egz. broszur „Czy katolik może być socyalistą?", niepoślednią ilość odezw i urządziliśmy kilka wieców. Zapoznawanie się ludu polskiego, którego u nas są tysiące, z ideą socyalistyczną i przejmowanie się nią postępuje codziennie.

Tow. Wierbiński z Gniezna odpiera najpierw wywody p. Luksemburg. Poznańscy towarzysze mają najmniej prawa do narzekań, — wina bowiem nie polega na P. P. S, tylko na tej niemieckiej organizacyi, która zamiast polskich w polskie strony wysyła i utrzymuje agitatorów niemieckich. Gdyby wysłano na Śląsk i w Poznańskie polskich agitatorów i zapewniono im utrzymanie jak niemieckim, napewnoby o 100% więcej zdziałali. Zarzut, że w Gnieźnie 200 robotników należy do towarzystwa katolickiego, a do robotniczej organizacyi nie możemy ich pozyskać, jest całkiem śmieszny, bo w Poznaniu procentowo stosunek ten jest o wiele większy. My nie kładziemy tak wielkiej wagi na przyciąganie wielu członków do organizacyi zawodowych, jak raczej na zapoznanie ich z dążnościami socyalizmu.

Tow. Karwik z Bremy zwraca się głównie przeciwko p. Luksemburg, zarzuca jej, że tylko spór z towarzyszami był jej dotychczasową pracą. Wywoływała ona rozłam wśród socyalistów w Królestwie, a antagonizmy, jakie się wyradzają w Poznaniu, są również jej robotą. Wszak dopiero co z jej ust słyszeliśmy, że ona inspirowała towarzyszy poznańskich, ona uplotła ową karykaturę, zwaną deklaracyą, która nie jest niczem więcej, jak niezgrabnem złagodzeniem wniosku poznańskiego, którego również pani Luksemburg jest autorką, i to napewno, bo takich wrogów polskości między towarzyszami poznańskimi niema, żeby się na taki haniebny wniosek mogli zdobyć. Ci, co się podpisali, zostali przez nią oszołomieni. Niesłusznem także jest postanowienie organizacyi niemieckich, które w polskie strony dla werbowania członków zawodowych wysyłają agitatorów niemieckich. Jakże tu lud polski może nabrać zaufania do związków, uwierzyć w sławioną wolność równość i swobodę w socyalizmie, kiedy tak samo jak rząd śle nam tylko niemców na zwierzchników, tak samo jak kościół narzuca

nam niemieckich księży i niemieckie kazania, tak samo socyaliści niemieccy posyłają naszemu ludowi tylko emisaryuszy niemieckich. Nie mam nic osobiście przeciw Winterowi ani Gogowskiemu, ale ich miejsca powinni zajmować polscy działacze, a byłoby zaufanie większe, rezultaty ich działalności obfitsze, a co najgłówniejsza, równouprawnieniu i sprawiedliwości, zagwarantowanej w programie socyalistycznym stałoby się zadość. Takie jest moje zdanie i od takiej zasady i takich żądań nie możemy odstępować ani na krok. Pani Luksemburg zarzuciła gnieźniakom, że nie potrafili wpłynąć na 200 członków katolickich, a czy Winter na Śląsku choćby odrobinę włamał się w szeregi chrześciańskiego związku, który liczy 10 tysięcy członków? Jeśli weźmiemy pod uwagę, że gnieźniacy są zależni, a Winter ma byt niezależny i przez organizacyę zapewniony, to zobaczymy dopiero, komu przypada palma pierwszeństwa. (Brawo.)

Tow. Gogowski (po niemiecku): Muszę przedewszystkiem odeprzeć zarzuty skierowane przeciwko mnie; aby pozyskać lud pracujący, trzeba działać za przykładem innych niemieckich związków zawodowych. Do kasy partyjnej nie odesłaliśmy nic, bo agitacya sama u nas bardzo dużo wymagała. Liczba członków jest najlepszym tego dowodem. O germanizacyi przezemnie nie może być mowy, bo liczba abonentów „Gazety Robotniczej“ u nas się podwoiła. Na skutek ciągłej walki uzyskaliśmy dla mularzy 10 godzinny czas pracy. Również w innych zawodach, jak u szewców i krawców, pracujemy nieustannie nad podniesieniem stopy życiowej robotnika. Za to wszystko otrzymuję w nagrodę zajadłą a niesłuszną krytykę ze strony Karwika. Pytam, dlaczego tow. Karwik i inni siedzą na obczyznie, a nie przyjdą pracować wśród swoich braci uciśnionych w Poznańskiem i na Śląsku?

Tow. Karwik w odpowiedzi: Bożą manną żyćbyśmy tam nie mogli; gdybyśmy chcieli agitować, wyrzuconoby nas z pracy, jak was, ale gdyby nam dano takie utrzymanie jak wam, znaleźlibyśmy się na miejscu.

Tow. Thiel, członek Zarządu, przyznaje słuszność tow. Gogowskiemu, zarzuca jednak towarzyszom poznańskim, że wcale nie uwzględniają uchwał Zjazdów Polskiej Partyi Socyalistycznej, choć biorą w nich udział, a oświadczają się za uchwałami Zjazdów niemieckich, których i my przecież nie ignorujemy. Na twierdzenie p. Luksemburg, że polacy, znajdujący się na obczyznie, powinni wstępować do miejscowych organizacyi niemieckich, muszę odpowiedzieć, że do związków zawodowych pewnie wszyscy należymy, ale gdybyśmy się mieli pozbawić swoich organizacyi, skazalibyśmy się na byt niemych indywiduów. Widzimy, że niemcy będący za granicami swego kraju, nie toną tam w narodzie tubylczym, tylko tworzą samodzielne towarzystwa i organizacye, gdyż tylko w swoim języku mogą się rozwijać i wyrabiać. Takie jest też nasze postanowienie, nasz cel i nasze dażenie. Dalej pyta towarzysz Thiel, czy była kiedykolwiek z Górnego Śląska wysłana rezolucya, solidaryzująca się ze zdaniem redakcyi „Berg. u. Hütten-Arb. Ztg.“ co do rozporządzeń językowych. Jak wiadomo, władze westfalskie zagroziły polskim robotnikom wydaleniem, jeśli w ciągu 6-ciu miesięcy nie wyuczą się dokładnie po niemiecku mówić i czytać. „Berg- u. Hütten-Arb. Ztg.“ pochwaliła to rozporządzenie, za co „Gazeta Robotnicza“ ją potępiła. Na to towarzysze śląscy mieli wysłać rezolucyę, potępiającą „Gazetę Robotniczą“, a pochwalającą stanowisko „Berg- u Hütten Arb. Ztg.“.

Towarzysze Marek, Dylong i Borys odpowiadają, że o żadnej rezolucyi z Górnego Śląska nic nie słyszeli.

Tow. Biniszkiewicz żąda od towarzyszy poznańskich dowodów, gdzie partya nasza uprawiała narodowe frazesy.

P. Luksemburg dowodzi, że mowa wstępna przewodniczącego Berfusa przy zagajeniu obecnego zjazdu nie jest niczem więcej jak frazesem, bo pół godziny mówił o prześladowaniu polskiego języka i przytaczał mowy ministra pru-

skiego Studta, który prześladowania pochwalił. Cóż to wszystko ma do czynienia ze zjazdem, jaką korzyść z takich mów ma odnieść proletaryat? Niech się takiemi rzeczami bawią patryoci, ale zjazdy robotnicze powinny się sprawą klasy robotniczej zajmować. Tak samo organ Partyi „Gazeta Robotnicza" uprawia narodowe frazesy. Ostatnie artykuły z „Krytyki" o „Sprawie polskiej" nie są niczem więcej jak narodowymi frazesami. Bo pytam was, co to robotnikowi pomoże, jeżli się dowie jaki sąd ma jeden i dziesiąty uczony warchoł o przyszłości Polski? Takimi frazesami narodowymi, mogą się bawić pisma burżuazyjne, ale robotniczemu pismu mores (?) do tego. Pismo robotnicze, jeśli chce sumiennie spełnić swoje zadanie względem proletaryatu, to tylko proletaryackimi interesami powinno się zajmować. (Pojedyncze oklaski na sali wśród gości i namiętne oburzenie wśród delegatów).

Na powyższe słowa odpowiadali towarzysze Berfus, Biniszkiewicz i Thiel. Zgłosiło się wielu innych do głosu, lecz dla krótkiego czasu tylko pierwsi trzej mogli odpowiadać. Padały słowa: Gdyby klasa pracująca była tylko bydłem roboczem, to trzebaby było walczyć dla niej tylko o lepsze jedzenie, picie i wyspanie, ale że robotnicy polscy są ludźmi, obywatelami kraju, to też urządzenia polityczne, swoboda narodowa, są dla nich tak samo sprawami żywotnymi jak jedzenie. Tak robią socyaliści niemieccy i socyaliści wszystkich narodów. Gazeta, któraby tego nie spełniła, byłaby czczą i nic nie wartą.

Tow. Thiel stawia następującą rezolucyę, którą zeszłego roku przyjął kongres austryacki:

„Proletaryat polski, zorganizowany w partyę socyalnodemokratyczną, działa i pracuje solidarnie z organizacyami proletaryatu całej Europy. Położenie jego jest jednak o tyle cięższem i wyjątkowem, że naród polski rozdzielono gwałtem na trzy części kordonami granicznymi, że wspólna praca całego proletaryatu polskiego jest nadzwyczaj utrudnioną, a srogi ucisk narodowościowy w zaborze rosyjskim i pruskim stoi na przeszkodzie zarazem samej organizacyi proletaryatu polskiego. Dlatego socyaliści polscy wszystkich trzech zaborów pracują wytrwale nad usunięciem tej strasznej krzywdy narodu polskiego i dążą do zjednoczenia w przyszłości wszystkich trzech zaborów w jedną politycznie i narodowo niezależną całość — do wolnej i zjednoczonej ojczyzny".

Przewodniczący poddał powyższą rezolucyę pod głosowanie; przyjęta też została wszystkimi głosami, z wyjątkiem delegatów z Poznania: p. Luksemburg i Matuszewskiego. Tow. Skowroński z Poznania podniósł również rękę za rezolucyą, ale p. Luksemburg chwyciła go za nią, za co od przewodniczącego została skarconą słowami: „Pfe! To pogwałcenie sumienia!"

Tow. Borys stwierdza, że tak Winter jak i Luksemburg pracują dla naszego dobra. Prawdą jest, że gdyby polacy wysyłali do Niemiec polskich agitatorów, to z pewnością niemieccy nie mniej by się temu sprzeciwiali. Winę złożyć należy na komisye zawodowe, ale nie na zarząd partyi niemieckiej.

Tow. Marck ze Śląska omawia ciężkie warunki pracy partyjnej i trudność dostania lokalu. Towarzystwo zawiązało się wprawdzie i istnieje, lecz cóż, kiedy zebrań nie możemy odbywać, bo nie możemy dostać lokalu. Prześladowania ze strony policyi są nie do opisania. Żandarmi idących na zebranie pytali o nazwiska; zakazano rozlepiać polskich plakatów, a procesa i wyroki sądów wprowadzają każdego w podziw. Nawet Hirsch-Dunkerowcy, którzy u nas starają się skaptować głupich do swego przestarzałego związku, nie pozwalają na swych zebraniach mówić po polsku. Jeśli mimo tego rozwój socyalizmu u nas postępuje, co trzeba podkreślić, to zawdzięcza to nadludzkiej wytrwałości i poświęceniu agitatorów i prześladowanych, do których należą także redaktorowie „Gazety Robotniczej". Postęp socyalizmu u nas zawdzięczamy również strasznemu rozgoryczeniu ludu, który pracuje do upadłego, a za swe przekonania bywa wy-

rzucany na śmierć głodową. Straszne prześladowania ze strony władz pędzą każdego zdrowo myślącego robotnika do socyalizmu, jako do jedynego portu wolności i sprawiedliwości.

Tow. Dylong zaznacza, że bezpłatne biuro porady prawnej w Bytomiu, utrzymywane przez dr. Wintera, cierpi o tyle, że mężczyźni boją się tam udawać, ażeby przez patrol szpiclowski nie byli zdradzeni i denuncyowani. Kobiety zaś, przez mężów tam posłane, jeszcze mniej władają po niemiecku. korzyść więc jest minimalna. Gdyby przedstawiciel biura władał obydwoma językami, korzyść byłaby bez wątpienia większą.

Tow. Fiołka z Wilhelmsburga w żywych słowach przedstawił stopniowy choć ciężki rozwój socyalizmu wśród polskich robotników. Nasze towarzystwo robotnicze polskie „Kółko samokształcenia“ liczy 50 członków. „Gazeta Robotnicza“ rozchodzi się w tej samej ilości.

Tow. Dergowski z Frankfurtu n/O. zaznacza, że rezolucya towarzyszy poznańskich, zamieszczona w „Vorwärts'ie“, narobiła wiele złego. Praca partyjna we Frankfurcie rozwija się powoli, ale stale.

Tow. Piotrowski z Hamburga narzeka na brak inteligencyi wśród hamburskiej polonii. Prześladowania ze strony władz w rzekomo wolnej republice nie różnią się od wywieranych przez despotyzm. Ot nawet po polsku zakazują nam mówić; nasze zebrania musimy odbywać w Altonie na terytoryum pruskiem. Jest to od dzielnic zamieszkałych przez polaków dość daleko, dla tego postępy u nas są niewielkie.

Tow. Zawadzki z Gniezna przedstawia trudne warunki zarobkowe w Gnieźnie, straszny przesąd i fałszywe uprzedzenia do socyalizmu, zupełny brak lokalów do zebrań, ale mimo tego duch socyalizmu daje się odczuwać w coraz szerszych sferach.

Tow. Ostrowski z Herne: Narodziny ruchu socyalistycznego wśród naszych rodaków w Westfalii były bardzo trudne, lud przeważnie ze wsi i małych miasteczek naszych prowincyi mało duchowo rozwinięty, przytem ogłupiany przez niesumiennych prowodyrów, którzy są tak bezczelni, że socyalistów przedstawiają jako wrogów robotniczych, wrogów narodowości, religii i t. p. Wskutek tego lud polski w Westfalii pozostawał w nieświadomości; do swych braci socyalistów polskich odnosił się wrogo i zdobyczy nasze były minimalne. Pierwsze towarzystwo „Przedświt“, założone przez Szczotkowskiego, upadło. Założyliśmy nowe towarzystwo „Oświata“; kierują niem więcej wprawne ręce, na początek było 18 członków, dziś przeszło 60. Do 300 osób mieszczącego lokalu zbiera się trzy razy tyle ludzi, lecz muszą wracać. Innych lokalów nie mamy. Na krytykę księdza z ambony odpowiedzieliśmy zebraniem, na które przybyło około 800 ludzi. Ruch socyalistyczny i świadomość klasowa wśród proletaryatu polskiego w Westfalii robi teraz zadawalniające postępy. Dalej omówił jeszcze mówca prześladowania ze strony władz, na jakie są narażone organizacye polskich robotników w Westfalii.

Tow. Majchrzak z Drezna określił działalność towarzystwa w Dreznie, które istnieje dopiero od roku. Celem jego jest krzewić zasady nasze wśród licznych naszych rodaków, pracujących w okolicach Drezna. Rezultaty naszej pracy nie są jeszcze zbyt obfite, również liczba członków w towarzystwie mogłaby być większą. Ale uniewinnia nas jednak to, że znajdujemy się dopiero na początku naszej pracy, wskutek czego mamy jeszcze mało wyrobionych zdolnych agitatorów. Największą zaporą naszej działalności jest to, że nie możemy po polsku przemawiać na zebraniach, Agitujemy tylko w towarzystwie i od ust do ust na wycieczkach agitacyjnych, a głównie literaturą agitacyjną.

Tow. Kunce z Lipska zdał dłuższe sprawozdanie z tamtejszego ruchu socyalistycznego wśród polaków, skarżył się również na ograniczenie polskiego ję-

zyka na zebraniach i zaznaczył, że, mimo tych szykan, socyalizm wśród licznej polonii Lipska i okolicy robi znaczne postępy.

Tow. Kolasiewicz z Hali: Nasze towarzystwo robotników polskich „Bratnia pomoc" miało ciężkie narodziny, a jeszcze przykrzejszy rok pierwszy. Nie dozwolono nam mówić po polsku na zebraniach. Proces przeciw temu wdrożony przez naszego przewodniczącego, tow. Fajerskiego, trwał cały rok i w najwyższej instancyi skończył się naszą wygraną. Towarzystwo rozwija się teraz dosyć, ale jest nieliczne. Pochodzi to stąd, że masy polskiego proletaryatu pracują w okolicach Hali, na saskich polach i kopalniach, a w mieście jest tylko niewielka liczba rzemieślników. W każdym razie towarzystwo nasze jest ogniskiem oświaty wśród naszych braci. Przed paru tygodniami dopiero rozpowszechniliśmy między nimi kilkaset broszur „Latarni" i „Czy katolik może być socyalistą?", oraz „Gaz. Rob.". Mało to jest wprawdzie, ale robiliśmy, co było w naszej mocy.

Zdawali jeszcze sprawozdania towarzysze Nadolski, Wlekliński i Golibrocki.

Nim przystąpiono do dalszych obrad, przewodniczący odczytuje nadesłane telegramy. Potem odczytano następującą rezolucyę z Bremy, popartą 143 podpisami:

„Wobec ciągłych napaści na P. P. S. pod zaborem pruskim ze strony jakichś zgermanizowanych ludzi, przejętych szowinizmem niemieckim, a podszywających się pod płaszczyk towarzyszy, my niżej podpisani robotnicy i robotnice polscy, zamieszkali w Bremie, wyrażamy swe oburzenie. My, będąc socyalistami, chcemy pozostać i polakami i energicznie protestujemy przeciw wszelkim zakusom na P. P. S. Niech żyje wolna Polska ludowa! Niech żyje międzynarodowy socyalizm!"

Po namiętnej dyskusyi rezolucyę przyjęto. Przeciwko tej rezolucyi składa p. Luksemburg na ręce Zarządu swą deklaracyę.

Przystąpiono do wniosków bremeńskich i Gościńskiego. Po krótkich obradach polecone i przyjęte zostały w następującej formie:

„Zjazd uchwala, aby Zarząd partyjny przynajmniej raz do roku wysłał agitatora do miejscowości, gdzie istnieją polskie towarzystwa robotnicze, lub gdzie te powstać mają. Aby towarzysze lub komisye agitacyjne, zwołujące publiczne zebrania ludowe, powoływali na referentów towarzyszy z innych miejscowości, n. p. z Lipska, Drezna, Bremy i t. d. do Hamburga, Berlina, Hali, Wilhelmsburga, Poznania, Gniezna, Inowrocławia i na Śląsk, a naodwrót, żeby tamci agitatorzy jeździli z wykładami gdzie ich zawołają".

Przyjęto też rezolucyę towarzyszy z Gniezna, energicznie protestującą przeciwko wysyłaniu do dzielnic polskich agitatorów, władających tylko językiem niemieckim.

P. Luksemburg stawia następujący wniosek:

„Zjazd wzywa towarzyszy w polskich stronach, by zwrócili większą niż dotychczas uwagę na związki zawodowe, osobliwie tam, gdzie istnieją chrześciańskie związki zawodowe lub Hirsch-Dunkierowskie".

Przewodniczący odpowiada, że każdy nasz dotychczasowy Zjazd polecał towarzyszom należenie do związków zawodowych klasowo uświadomionego proletaryatu, a zatem i dzisiejszy Zjazd może to ponowić.

Zjazd zgadza się i wniosek p. Luksemburg zostaje przyjęty.

Do punktu III (Sprawa prasy i wydawnictw) po krótkiej dyskusyi uchwala Zjazd wnioski z Bremy i Drezna:

„Aby Zarząd partyjny wydał kalendarz robotniczy dla zaboru pruskiego, zawierający prócz zwykłej części kalendarzowej pouczające rozprawy, nadające się do agitacyi, oraz adresy wszystkich towarzystw par-

tyjnych, lokale posiedzeń, adresy Zarządu i ustawy państwowe w Niemczech, dotyczące towarzystw".

Co do odezw, to po przemówieniach tow. Karwika i Morawskiego, w których ci wykazują nieudane próby pisania odezw polskich przez towarzyszy niemieckich, Zjazd uchwala wniosek towarzyszy bremeńskich :

„Zjazd partyjny uchwala polecić Zarządowi partyjnemu porozumieć się z towarzyszami niemieckimi, wydającymi odezwy polskie dla polskich robotników, by takowe zlecono wydawać tylko Zarządowi Polskiej Partyi Socyalistycznej".

Następnie przychodzi pod obrady kwestya przeniosienia „Gazety Robotniczej" na Górny Śląsk. Zabiera głos mnóstwo delegatów, żaden niema nic przeciw temu, ale zachodzi kwestya, jak to zrobić? Tow. Morawski objaśnia stronę kosztów, wynoszącą tysiące marek, a tow. Borys oświadcza, iż tak długo, dopóki nie będziemy mieli własnego domu, o przeniesieniu mowy być nie może, albowiem w wynajętym lokalu szłoby nam tak, jak z salami do zebrań. Dalej radzi tow. Borys zorganizować spółkę udziałową, objaśnia zadania jej i jak łatwo można zebrać pożądaną sumę na spłatę własnego budynku. Po tych słowach, na miejsce wniosków tow. zabrsko-zaborskich, z Lipiu i Prudnika, uchwalono następujący wniosek p. Luksemburg :

„Zjazd poleca towarzyszom górnośląskim poczynienie starań w celu umożliwienia przeniesienia „Gazety Robotniczej" na Górny Śląsk".

Co się tyczy technicznej strony w wydawnictwie „Gazety Robotniczej", jako to częstszego wydawania, większego formatu, przyjmowania ogłoszeń i t. d., — to przyjęto wniosek tow. Majchrzaka :

„W celu osiągnięcia środków dla powiększenia „Gazety Robotniczej", Zarząd wydaje listy składkowe i zbiera je co kwartał".

Pozostałe zaś wnioski przekazane zostały komisyi prasowej, która została wybrana przez Zjazd na miejsce dawnej komisyi kontrolującej. Z tego powodu została przyjęta uchwała następującej treści :

„Komisya kontrolująca zostaje z instytucyi wyłącznie skarbowej przekształcona na komisyę prasową, której zadaniem jest : 1) stanowienie żywego łącznika między redakcyą a polskiemi okolicami ; 2) popieranie redakcyi przez werbunek odpowiednich współpracowników , 3) obserwowanie Gazety co do właściwego ustosunkowania rozmiaru różnych działów, oraz uwzględnienia kwestyi będących na czasie lub interesujących szczególnie towarzyszy w tej lub innej polskiej okolicy ; 4) werbowanie abonentów oraz zgromadzanie funduszów w celu powiększenia „Gazety Robotniczej". Komisya ta w celu płodnej działalności obraną jest jedynie z pośród towarzyszy berlińskich, składa się z 3 członków i odbywa swe posiedzenia regularnie co miesiąc, lub oprócz tego na żądanie jednego ze swych członków".

Zjazd uchwala, by sprawozdanie z obrad Zjazdu było wydane w formie broszurki.

Nad wnioskami towarzyszy z Charlottenburga i Poznania, tyczącymi się zmiany nagłówka, Zjazd po krótkiej dyskusyi przeszedł do porządku dziennego, a zarazem do punktu IV obrad.

Tow. Morawski uważa, że Zarząd nie może narzucać oddzielnym okręgom kandydata na posła do parlamentu, bo towarzysze z danej miejscowości powinni o tem stanowić.

Tow. Berfus podnosi konieczność polecenia kandydatów przez Zarząd i udzielania towarzyszom w okręgach wyborczych wskazówek co do postawienia kandydata.

Zjazd uchwalił co następuje :

„Postawienie kandydatów na wybory do parlamentu powinno się

odbywać za porozumieniem się towarzyszy danego okręgu wyborczego z Zarządem partyi"

Przyjęte zostały rezolucye, potępiające bezwzględną brutalność baronów węglowych w Austryi wobec strejkujących górników, rezolucya, potępiająca zaborczość Anglii względem burów, oraz protest przeciwko nowemu projektowi pomnożenia floty. Wreszcie uchwalono bez dyskusyi wniosek tow. z Wilhelmsburga:

„Zjazd uchwala, by zjazd partyjny co rok w Zielone Świątki się odbywał. Ogłoszenie o tem powinno być w „Gazecie Robotniczej" trzy miesiące przed zjazdem. Tak samo o zjeździe partyi niemieckiej i międzynarodowym".

Przystąpiono do wyboru Zarządu, do którego zostali wybrani: tow. Morawski, Thiel, Berfus, Biniszkiewicz i Merkowski.

Do komisyi prasowej: tow. Rybicki, Wojciechowski i p. Luksemburg.

Do komisyi Rewizyjnej: tow. Gościński, Nadolski, Weychta.

Sprawę delegata na międzynarodowy kongres w Paryżu polecono Zarządowi do załatwienia. Na tem został porządek dzienny wyczerpany.

W końcu przemawiał jeszcze tow. Gogowski, wyrażając swoje zadowolenie z powodu uchwał, powziętych przez Zjazd.

Przewodniczący w gorącem przemówieniu, zachęcając delegatów do dalszej pracy, trzykrotnym okrzykiem na cześć międzynarodowego socyalizmu zamyka o godzinie pół do 8-ej wieczorem V-ty Zjazd Polskiej Partyi Socyalistycznej.

TEGOROCZNE ŚWIĘTO MAJOWE

Zagranicą

Po raz jedenasty obchodziła międzynarodowa armia proletaryatu swoje święto wbrew wszelkim przeszkodom i szykanom. Najwspanialej i w tym roku wypadło święto majowe w *Austryi*. W Wiedniu odbyło się 29 wielkich ludowych zgromadzeń, a oprócz tego 18 zebrań zawodowych. Od samego rana świętowało conajmniej 25.000 osób. Po obiedzie, jak zwykle, zorganizowano olbrzymi pochód do Prateru. Ani wieczorne wydanie dzienników 1-go maja, ani poranne 2-go nie wyszły z powodu świętowania drukarzy. We wszystkich krajach Austryi świętowanie wypadło bardzo dobrze. W samej Dolnej Austryi było 29 zgromadzeń. W Czechach i na Węgrzech świętowano powszechnie i bardzo uroczyście. W *Belgii* pierwszego maja było mnóstwo szkół pozamykanych. a w uroczystych pochodach wzięły udział wszędzie tysiące osób. Niesiono transparenty z agitacyjnymi napisami, sztandary i t. d. Mówcy przemawiali z balkonów „domów ludowych. W rewirach węglowych bezrobocie było bardzo znaczne. W *Niemczech* święto ogarnęło daleko większe masy aniżeli w latach poprzednich. Nie było miasteczka, rzec można, gdzieby nie obchodzono uroczystości robotniczej. Bardzo ostentacyjnie obchodzono święto majowe we *Włoszech,* gdzie tak samo jak w Belgii liczne szkoły w gminach socyalistycznych były zamknięte. W *Anglii* po raz pierwszy zamiast w Hydeparku obchodzono święto robotnicze w londyńskim Pałacu Kryształowym, gdzie zgro-

madziło się przeszło 15.000 robotników. Obchód, urozmaicony śpiewem i sztucznymi ogniami, wypadł wspaniale. We *Francyi*, gdzie święto majowe obchodzone bywa najsłabiej, w tym roku agitacya przed wyborami do rad gminnych usunęła uroczystość majową na plan jeszcze dalszy. Obchody majowe najlepiej wypadły na prowincyi. Pozatem we wszystkich krajach europejskich świętowano w mniej lub bardziej uroczysty sposób.

W kraju

Zabór austryacki

W zaborze austryackim święto majowe, jak zwykle, wypadło wspaniale. W *Krakowie* bezrobocie było ogólne. O godz. 10 ujeżdżalnia pod Kapucynami była nabita po brzegi. Na trybunie, przybranej czerwoną oponą ze sztandarami głoszącymi „powszechne prawo głosowania“, „ośmiogodzinny dzień roboczy“, „solidarność międzynarodową“, chór robotniczy odśpiewuje „Pieśń pracy“, poczem następują referaty — tow. Bałandy o ochronnem ustawodawstwie robotniczem, tow. Daszyńskiego o powszechnem głosowaniu. Odpowiednie rezolucye zostały przyjęte z entuzyazmem. Po zgromadzeniu tysiące uczestników ruszyły na miasto ze śpiewem „Czerwonego Sztandaru“. Policya, jak zawsze, prowokowała robotników, starała się brutalnie rozbić pochód i nawet aresztowała kilka osób. Po południu odbyła się zabawa w parku krakowskim — i tysiące świątecznie odzianych proletaryuszy wesoło bawiły się do późnego wieczora. W *Podgórzu* odbyło się wielkie zgromadzenie ludowe, którego uczestnicy udali się w pochodzie do Krakowa.

We *Lwowie* cały plac wystawowy zapełnił się tłumem świętujących. W hali muzycznej odbyło się bardzo liczne zgromadzenie. Przemawiali : tow. Hudec o zadaniach partyi, tow. Kozakiewicz o położeniu obecnem i dorobku proletaryatu, tow. Hankiewicz w imieniu partyi rusińskiej. Oprócz zwykłych rezolucyi uchwalono cześć robotnikom, aresztowanym w Warszawie. Po zgromadzeniu tłum z pieśnią „Czerwonego Sztandaru“ popłynął ku miastu. Dopiero napotkawszy wojsko na ulicy Kościuszki, manifestanci rozeszli się. Policya i wojsko obsadziły wszystkie gmachy rządowe i gniazda klerykalizmu.

W *Przemyślu* już od rana krążyły patrole wojskowe i policyjne. Miasto przybrało wygląd świąteczny — ani jedna fabryka nie pracowała. Na krótko przed południem ruszył pochód robotniczy w stronę centralnego ogrodu, przyczem niesiono tablice z napisami : „niech żyje pierwszy maja, powszechne głosowanie, wolność słowa i prasy, ośm godzin pracy“. W ogrodzie zebrały się tłumy. Referowali tow. Żołnierz, tow. Lieberman i tow. Wityk (po rusińsku).

W Stanisławowie też od samego rana panował ruch świąteczny. Zgromadzenie zostało podczas mowy tow. Mokłowskiego rozwiązane, a policya wezwała żandarmów ; ci poczęli kolbami rozpędzać zebranych robotników i chłopów. Po południu odbyła się zabawa, a wieczorem drugie zgromadzenie, na którem przemawiali tow. Seinfeld i Mokłowski. Oprócz zwykłych rezolucyi uchwalono wśród burzliwych oklasków cześć dla bojowników o wolność w zaborze rosyjskim i uznanie dla górników za ich walkę z baronami węglowymi.

W Jarosławiu bezrobocie było również powszechne. Zgromadzenie na boisku „Sokoła“ ściągnęło licznych uczestników jako też i policyę, która wraz z żandarmami obsadziła sąsiednie ulice. Przemawiali tow. Rzęsa i W. Reger. Po przyjęciu rezolucyi odbył się pochód przez miasto ze śpiewem „Czerwonego Sztandaru“. Wieczorem odbyła się zabawa.

W Drohobyczu trzy bataliony wojska strzegły bogatych nafciarzy i fabrykantów miejscowych i borysławskich. W zgromadzeniu wzięło udział oprócz robotników drohobyckich przeszło tysiąc górników borysławskich. Referował tow. Mantel. Wieczorem urządzono zabawę.

W Samborze starosta nagle i bez żadnych powodów zakazał zgromadzenia ludowego a zgromadzenie poufne komisarz rozwiązał. Rozgoryczenie panowało ogromne. Wojsko zostało skonsygnowane, a żandarmerya prowokowała najspokojniejszych. Pomimo to świętowali wszyscy robotnicy. Po południu odbyła się za miastem zabawa robotnicza.

W Stryju już na kilka dni przed 1-ym maja starosta tłómaczył fabrykantom, że nie powinni uwalniać robotników w dzień ich święta. Pomimo to świętowała znaczna liczba robotników. Zgromadzenie ludowe zostało zakazane, ale wieczorem zato odbyło się bardzo liczne poufne, na którem referował tow. Wyrostek. Po odśpiewaniu pieśni robotniczych zgromadzeni spokojnie rozeszli się do domów.

W Ottynii również uroczyście obchodzono święto. W rannym pochodzie z muzyką wzięło udział kilkaset osób. Wieczorem odbyła się zabawa, poprzedzona referatem jednego z towarzyszy.

W Kołomyi odbyło się zgromadzenie w sali ratuszowej, poczem uczestnicy udali się na zabawę ludową w Wierbiążu.

W Schodnicy dyrektorowie kopalń zapowiedzieli deputacyi robotników, że kto tylko odważy się świętować, zostanie zaraz wydalony. Pracowali więc wszyscy. Dopiero wieczorem odbyło się zgromadzenie.

W Nowym Sączu zgromadzenie wypadło wspaniale. Kolejarze przybyli z dworca na zgromadzenie w pochodzie i z muzyką robotniczą, a po zgromadzeniu tak samo powrócili. Referowali tow. Kurowski i Teller. Wieczorem odbył się ogólny pochód z muzyką po wszystkich główniejszych ulicach miast.

I na Śląsku austryackim święto robotnicze było obchodzone bardzo uroczyście. Górnicy świętowali w bardzo znacznej liczbie. Burza i deszcz nie pozwoliły na odbycie zapowiedzianych zgromadzeń pod gołem niebem, to też ograniczono się do zwykłych zebrań.

W zaborze austryackim oprócz brutalnych zakusów i szykan ze strony władz administracyjnych święto majowe wywołuje kontragitacyę ze strony „patryotów“ i klerykałów. Pierwsi w żaden sposób nie chcą się pogodzić z myślą, że proletaryat ma *własne* robotnicze święto, i usilnie starają się przeciwstawić 1-mu maja rocznicę konstytucyi 3 go maja. Widać w tem drobnostkową zawiść; nie mając sił do urządzenia wielkiej manifestacyi w dniu 3 maja, „patryoci“ pragnęliby, ażeby robotnicy przenieśli swe święto na ten dzień, gdyż wówczas mogliby się chlubić wspaniałością obchodu paryotycznego. Głupia taktyka, wywołująca całkiem niepotrzebne rozgoryczenie w szeregach robotniczych. Co do klerykałów, to ci postanowili urządzić w Krakowie specyalne wielkie „święto robotnicze“ w pierwszą niedzielę maja. W rezultacie zgromadzili aż 40 owieczek, które z muzyką i sztandarami poszły do kościoła.

* * *

Zabór pruski

W zaborze pruskim i w tym roku nie było obchodów majowych, niestety. Obchodzili święto robotnicze tylko towarzysze na emigracyi.

* * *

Zabór rosyjski

I w tym roku — tak samo jak w latach poprzednich — P. P. S. postanowiła zorganizować demonstracyę uliczną. W nocy ze środy na czwartek 26 kwietnia porozlepiano i rozrzucono następujące kartki: „W niedzielę 29 kwietnia z powodu zbliżającego się święta robotniczego odbędzie się Zgromadzenie ludowe w Alejach Ujazdowskich o 5-tej popołudniu. Punkt o 6-tej pochód. Towarzysze i Towarzyszki! Bądźcie punktualni i stawcie się jaknajliczniej. Gdy wybije godzina 6-ta, należy wyjść z Alei i skierować się przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście ku pomnikowi Mickiewicza. We wtorek 1-go maja święto! Warszawski Komitet Robotniczy“. Przy rozpowszechnianiu zaproszenia nikogo nie ujęto. Dopiero nad ranem odbyły się rewizye u robotników, przyczem dzieciaki na podwórzach dowcipkowały sobie z policyi.

We czwartek rozpowszechniono w Warszawie i na prowincyi Nr. 36 „Robotnika“. Entuzyazm mas robotniczych był niesłychany. W piątek „Robotnik“ rozszedł się pomiędzy inteligencyą warszawską. Cieszyli się nawet przeciwnicy.

W sobotę po mieście, a zwłaszcza w dzielnicach robotniczych, defilowały całe oddziały wojska z muzyką i bębnami. To samo powtórzyło się w niedzielę przed południem. Około godziny 5-tej przy ślicznej pogodzie w Alejach Ujazdowskich poczynają się gromadzić kupki towarzyszy i towarzyszek. Liczba energicznych, ruchliwych postaci robotniczych stale wzrasta, jaskrawie odrzynając się od zwykłych niedzielnych spacerowiczów. Jednocześnie około pomnika Mickiewicza i kościoła św. Aleksandra stanęli konni żandarmi, kozacy orenburscy i policyanci, a w Aleje weszła rota pułku wołyńskiego i setka kozaków oprócz żandarmów i policyi jak zwykle.

Około 6-tej w Alejach Ujazdowskich zgromadziło się przeszło 20.000. Punkt o 6-tej oddzielne grupy towarzyszy i towarzyszek — po kilkaset osób — zaintonowały „Czerwony Sztandar“ i „Warszawiankę“ i pochód ruszył, uformowawszy się w szeregi. Na czele idą trzy robotnice, trzymając się pod rękę i pełnym głosem śpiewając hymn nasz. Wśród zwartych szeregów robotniczych to tu to tam widać studentów i inne osoby z inteligencyi. Zwykli spacerowicze szybko usuwają się przed pochodem manifestacyjnym.

Pochód zapowiadał się imponująco. Władze jednak, chcąc zapobiedz połączeniu się wszystkich towarzyszy w jeden olbrzymi orszak, utworzyła trzy kordony (przy ul. Agrykola Górna, Piękna i Aleksandra), wskutek czego znaczna liczba demonstrujących była wyparta w boczne ulice. Pochód na rogu Pięknej został wstrzymany przez kozaków i zwarty szereg policyi pod wodzą pomocnika oberpolicmajstra — Seiferta. Towarzysze i towarzyszki, nie przestając śpiewać, zawrócili w stronę Łazienok. Koło cerkwi pochód napotkał żołnierzy wołyńskiego pułku, uzbrojonych w karabiny z bagnetami. Pochód znów skierował się w stronę Mickiewicza, lecz przy parku Ujazdowskim przypuścili doń szturm kozacy z nahajkami. Kiedy z rozkazu komisarza policyjnego szpicel chciał zaaresztować jednego z pomiędzy śpiewających, został niemiłosiernie obity kijami; z po za kijów bitego nie można było dojrzeć. Towarzysze bronili się kijami i kamieniami. Wtedy kozacy dobyli szabel, wywijając niemi nad głowami demonstrujących; jednocześnie druga gromada kozaków z impetem wpadła na publiczność, stojącą po drugiej stronie Alei i wparła ją na „Patelnię“ (cukiernia). Z „Patelni“ posypał się na kozaków grad filiżanek, szklanek, spodków itp. Powstał tłok taki, że ludzie o mało się nie podusili. Kobiety, ratując się, wyskakiwały oknami i biegły w boczną ulicę, pozostała zaś część publiczności, wyłamawszy sztachety, wpadła do ogrodu „Doliny Szwajcarskiej“, a stamtąd przez drugie sztachety wydostała się na ulicę. Uczestnicy pochodu, którzy byli przy parku Ujazdowskim,

zostali wparci do parku, zamknięci i otoczeni przez wojsko, co im jednak nie odebrało odwagi, gdyż w dalszym ciągu śpiewali pieśni rewolucyjne. Kilkakrotnie próbowano się z parku wydostać, wyłamano nawet bramę, ale za każdym razem wojsko tłum odpierało.

Pomimo nadzwyczajnych przeszkód, stawionych przez policyę i wojsko, znaczna ilość robotników przez Nowy Świat podążyła ku pomnikowi Mickiewiczca, dotrzeć jednak do niego nie mogła wobec otaczających go żandarmów i policyantów. Balkony, okna, sklepy, bramy, przejścia w boczne ulice i ganki kościelne były zajęte tłumami. Tramwaje także były przepełnione publicznością, która, nie wysiadając, kilkakrotnie jeździła od Zamku do Mokotowa i z powrotem, przyglądając się niezwykłemu widokowi.

Policya była pod rozkazami cywilnych.

Nareszcie zjawił się i Imeretyński w powozie w towarzystwie oberpolicmajstra. Gdy go poznano, zaczęto gwizdać i krzyczeć „precz!“ Wyrzucono w górę czerwoną płachtę, spotkaną przez towarzyszy obnażeniem głów i okrzykami rewolucyjnymi. Pomocnik oberpolicmajstra Seifert, który rzucił się z dobytym pałaszem odbierać płachtę, został tęgo obity kijami, tak, że twarz po krwawioną musiało mu opatrywać Pogotowie ratunkowe. Odwieziono go dorożką do domu.

Wówczas kozacy na dany znak z dzikimi okrzykami popędzili przez Aleje w stronę miasta, tratując i waląc nahajami przechodniów. Na wielu ulicach widziano wstrząsające sceny: tu kozak stratował dziecko jakiegoś robotnika, za co ten, mszcząc się, zwalił go kamieniem z konia; tam kozak skatował jakąś kobietę z dziećmi; owdzie pobito dwóch staruszków. Na Solcu napastowani przechodnie stoczyli z kozakami formalną bitwę. Jakaś kobieta, w pochodzie wcale udziału nie biorąca, szła przez ulicę z trojgiem swych dzieci. Jeden z kozaków napadł na nią i nahajką bić ją począł, czem wzbudził oburzenie przechodniów, którzy rzucili się z kijami na niego i zmusili do ucieczki. Jednemu z kozaków wydarto nahajkę i dobitnie zaznajomiono go z jej smakiem. Na ulicy Hożej kozak napadł na przechodzącego robotnika i chciał go uwięzić. Robotnik począł uciekać. Kozak za nim; i byłby niechybnie robotnika pokaleczył, gdyby nie to, że wjechał na latarnię i spadł z konia. To uratowało robotnika, który uciekł i uniknął aresztowania. Na placu Teatralnym jechało pędem kilku kozaków. Ktoś z publiczności krzyknął „zbóje!“. Kozacy rzucili się w tej chwili na kilka osób z okrzykiem „ławit'“ i pobili je silnie. W jednej z ulic sotnia kozaków roztratowała dziecko. Hulali tak kozunie do 11 w nocy.

O godzinie 10 wieczór wyprowadzono z parku wszystkich aresztowanych w ilości zgórą 2.000 osób i odprowadzono do cytadeli. Na ulicach, któremi uwięzionych pędzono, nie było ani jednego przechodnia, ani tramwaju, ani dorożki. Kozacy, jadący przed konwojem, wpychali wszystkich przechodniów do domów i zamykali za nimi bramy.

Po godzinie 1 w nocy przybył konwój do cytadeli. Kto nie chciał wejść spokojnie i szybko, tego popędzał kozak, jak mógł, i kolbą i nahajką. W cytadeli poczęto oglądać uwięzionych. Robotników popędzono na pierwsze piętro, na parterze zostały kobiety i młodzież z zakładów naukowych. Część kobiet i dzieci puszczono na wolność tej samej nocy, innych przetrzymano do poniedziałku do godziny 1 w południe, dając im tylko chleb i wodę. Wiele osób zachorowało, więc musiano wzywać pomocy stacyi ratunkowej.

Aresztowanych przeważnie powypuszczano w ciągu paru dni następnych.

Demonstracya sprawiła olbrzymie wrażenie, ponieważ była jeszcze wspanialszą od dwóch poprzednich — r. 1899 i 1898. Nazajutrz Imeretyński spacerował po Nowym Świecie w mundurze kozackim, a w parę dni potem „Warszawski Dniewnik“ przyniół następujące „podziękowanie:

„Oznajmiam serdeczne podziękowanie dowódcy leib-gwardyi pułku wołyńskiego, generał-majorowi Komarowowi za wzorowe wypełnienie powierzonego mu ważnego polecenia, które ze względu na komplikacyę i rozmiary wymagało od wykonawcy szczególnej energii, znajomości rzeczy i poważnego traktowania. Zbadanie przedstawionej pracy przekonało mnie, iż cenne zalety służbowe już niejednokrotnie wykazane przez generał-majora Komarowa, widocznie stanowią wybitny rys jego pożytecznej działalności.“

Podp.: dowodzący wojskami, generał-adjutant książe *Imeretyński.*

Echa obchodu warszawskiego rozpowszechniły się nadzwyczaj szybko po całym kraju, wywołując wszędzie olbrzymie zainteresowanie przebiegiem i wynikami manifestacyi. W zapadłych kątach, po małych miasteczkach, leżących na uboczu od kolei, już w kilka dni po wypadkach warszawskich wiedziano o nich.

Władze, a zarazem i szerokie koła publiczności oczekiwały czegoś nadzwyczajnego w dzień 1-go maja Wojsko tego dnia było znów skonsygnowane i to w bardzo znacznej liczbie. Wszystkie dzielnice fabryczne i takie punkty miasta, gdzie wielka przestrzeń sprzyja urządzeniu manifestacyi, były obsadzone policyą, konnymi żandarmami i wojskiem. Publiczność, nastraszona wypadkami niedzielnymi, kiedy to ludzie, nic wspólnego nie mający ani z socyalizmem, ani z żadnemi demonstracyami, narażeni byli na dotkliwe nieprzyjemności*), bała się wychodzić z domów. Matki nie posyłały dzieci do szkół, podobno nawet dość znaczna liczba osób opuściła ze strachu przed „niechybnym buntem“ Warszawę. Świętowała dość znaczna liczba robotników, ale nie posiadamy dotąd jeszcze dokładnego spisu fabryk i warsztatów, w których świętowano, ani cyfry świętujących.

Skąpe również są dotychczas dane z prowincyi, gdzie policya i żandarmerya też oczekiwały jakichś strasznych rzeczy, czyniąc bardzo rozległe przygotowania. *W Dąbrowie Górniczej* przed 1-szym maja zrobiono parę rewizyi na kopalniach, przyczem aresztowano kilku robotników. W przeddzień święta tow. rozlepili w całym okręgu następującą poezyjkę:

Wezwanie z więzienia na 1 Maja

Za sprawę wolności przez zbirów ujęci,
Za kratą w ponurem więzieniu zamknięci
Dziś ślemy Wam, Bracia, wezwanie,
Bo ziemia zrzuciła już śnieżne okowy,
Pokryje ją wkrótce zieleń i kwiat nowy
I wkrótce „Maj pierwszy“ nastanie.

Więc łącznik braterski pokażcie ochoczy.
Świętując gromadnie ten dzień tak uroczy,
My sercem będziemy też z Wami.
I zadrżą siepacze przed naszą jednością,
Gdy okrzyk wzniesiemy nabrzmiały radością,
Ufając w swą siłę dziś sami.

My może w Sybiru tajg śniegi pójdziemy,
Lecz w sercach pociechę mieć zawsze będziemy,
Że próżno nie zginął nasz trud;

*) Podobno obito nahajkami jakiegoś dymisyowanego pułkownika oraz wdowę po jenerale Piechowskim (?), aresztowano zaś i odstawiono do I pawilonu nie mało rosyan i to nawet urzędników — między innymi towarzysza prokuratora.

Bo przyjdzie godzina, że pozna świat cały,
Że siłą w tym kraju nie carat zuchwały,
Lecz wolny roboczy jest lud!

Dąbrowa Górnicza, 28 kwietnia 1900 r.

W Łodzi miejscowy komitet robotniczy jeszcze nie uznał za stosowne wystąpić z demonstracyą uliczną, jakkolwiek chęci po temu wśród uświadomionych towarzyszy nie brakło. Rozpowszechniono tu na kilka dni przed 1-szym maja Nr 36 „Robotnika" wywołał prawdziwy entuzyazm. Dziwili się też ludziska, że to właśnie w Łodzi była drukarnia, a tu tymczasem nikt się tego nawet nie domyślał... „Naczalstwo" oczekiwało widać jakichś poważnych wystąpień robotników, bo spędziło do Łodzi wojska daleko więcej aniżeli lat ubiegłych — cały pułk kozaków. Policyi i szpicli nie brakowało nigdzie. Wytoczono nawet... artyleryę, która widocznie dla napędzenia robotnikom strachu, urządzała za miastem kanonadę przez cały dzień. W nocy, poprzedzającej święto robotnicze, całe miasto przebiegały gęsto patrole, co nie przeszkodziło jednak towarzyszom przystroić całą Łódź i okolice we wspaniałe czerwone sztandary o białych napisach rewolucyjnych. Przypadkowo wpadł w ręce kozuniów jeden robotnik, właśnie przy zawieszaniu sztandaru. Zbito go nahajkami w straszliwy sposób. Gdyby nie to, ukazanie się sztandarów byłoby dla „naczalstwa" prawdziwą niespodzianką. Wielka była radość robotników, kiedy nazajutrz wszędzie ujrzeli powiewające sztandary — i to nie tylko w dzielnicach robotniczych, lecz i w centrum miasta. Tak np. na najwyższej kamienicy na Nowy Świecie — naprzeciwko ratusza — widać było wspaniałą czerwoną chorągiew. Jeden sztandar umieszczono na pałacu Szajblera, ku niemałej wściekłości króla bawełnianego. Niektóre z tych sztandarów powiewały do 6 popołudniu, bo niełatwo je było zdjąć, zwłaszcza z drutów telefonicznych i telegraficznych. Rzecz charakterystyczna, że policya zagrodziła wszelki przystęp do ulicy, na której dawniej się mieściła nasza drukarnia. Świętowano częściowo w wielu fabrykach i warsztatach.

W Radomiu świętowano w znacznej mierze po garbarniach i drobnych warsztatach. Fach szewcki świętował najliczniej. Słupy i druty telegraficzne przyozdobiono czerwonemi chorągwiami*). *W Zduńskiej Woli* świętowali tkacze, a *w Kaliszu* stanęły dwie fabryki, co wywołało popłoch wśród fabrykantów, opowiadających, że do Kalisza przyjechali jacyś agitatorowie socyalistyczni naród buntować.

Na emigracyi

Ten rok przyniósł nam po raz pierwszy obchody majowe, urządzane przez oddziały zagraniczne P. P. S.

W Londynie obchód taki odbył się dnia 28 kwietnia przy licznym udziale robotników polskich, zamieszkałych w stolicy Anglii. Przewodniczył zgromadzeniu tow. W. Sikorski, sekretarzował tow. H. Feuer. Referenci (tow. Grzybowski, Kaniowski, Erlichówna i Bobrowski) omawiali rozwój ruchu socyalistycznego w kraju oraz znaczenie uroczystości majowej. Publiczność rozeszła się w podniosłym nastroju, ze spotęgowanem poczuciem łączności z towarzyszami, walczącymi w kraju i z całym proletaryatem międzynarodowym.

W Paryżu obchód zorganizowały trzy tameczne oddziały zagraniczne P. P. S. — „Naprzód", „Wolność" i „Gleichheit" (żydowski). Wydano stoso-

*) Czerwone chorągwie na słupach i drutach były i w Warszawie.

wne odezwy w języku polskim i w żargonie, które ściągnęły bardzo dużo, jak na stosunki paryskie, publiczności. Przewodniczył tow. Bolesław Limanowski, który też przemówił pierwszy. Następnie przemawiali towarzysze w imieniu wszystkich oddziałów paryskich P. P. S. Po mowach polskich i żargonowej przemówił tow. R. w imieniu Rady Związkowej Konfederacyi Soc. rew. francuskich i redakcyi pisma „Russkij Raboczij“. Obchód zrobił jaknajlepsze wrażenie.

Spodziewamy się, że w roku przyszłym i inne oddziały zagraniczne P. P. S. wystąpią z samodzielnymi publicznymi obchodami majowymi.

* * *

O przebiegu polskiego obchodu majowego w Wiedniu otrzymaliśmy następującą korespondencyę:

Już o godz. 9 rano zaczęli się schodzić polacy na zgromadzenie ludowe. Około 10 już cała duża sala była zapełnioną po brzegi. Tow. Słowik w jędrnych słowach zagaił zgromadzenie, a zostawszy wybranym przewodniczącym, powołał na sekretarza tow. Malisza i udzielił głosu tow. Ulrichowi, który omawiał znaczenie 1-go maja. Po nim tow. Kanner zabrał głos, uzupełniając referat tow. Ulricha.

Obydwa referatu wypowiedział po rusińsku tow. Joachimowicz, gdyż zgromadzenie to było wspólne, tak dla polaków jak i dla rusinów.

Postawiono zwykłą majową rezolucyę, do której tow. Malisz dołączył następujący dodatek:

„Zebrani na obcej ziemi w dniu 1 maja na zgromadzeniu ludowem polscy robotnicy wyrażają zupełną solidarność z towarzyszami wszystkich 3 zaborów, i, składając hołd i uwielbienie dla walczących bezimiennych bohaterów w zaborze rosyjskim, protestują równocześnie przeciwko gwałtom, popełnianym przez rządy zaborcze na narodowości polskiej. Będziemy walczyć i dążyć do zdobycia niepodległej. wolnej, demokratycznej Polski“.

Dodatek ten został z zapałem przyjęty tak przez polaków, jak rusinów.

Popołudniu razem z towarzyszami wiedeńskimi zebrali się polacy w Praterze — w restauracyi, gdzie byli i włosi, którzy nam szczególne sympatye okazywali. Z jednej strony polacy śpiewali pieśni rewolucyjne polskie, z drugiej strony włosi — włoskie. Ci ostatni wysłali deputacyę pozdrawiającą do polaków, która została przez nas hucznymi oklaskami przyjęta. Również i polacy wysłali do włochów deputacyę, którą prowadził tow. Słowik. Przytem tow. Malisz przemawiał do tow. włoskich w języku niemieckim o podobieństwie położenia proletaryatu polskiego i włoskiego i stąd wypływających sympatyach obopólnych. Następnie tow. Malisz w krótkich i jędrnych słowach przedstawił położenie świętujących tow. w Warszawie i wzniósł na ich cześć okrzyk, wzywając do powstania z miejsc dla okazania czci dla ofiar dnia tego, co też zgromadzona polonia uczyniła. Potem zabawiano się rozmaitemi produkcyami śpiewackiemi, czemu się ciekawie tow. innych narodowości przysłuchiwali, okazując swe uznanie przez oklaski.

* * *

Sensacyjne wiadomości o niesłychanie surowych wyrokach (skazanie na katorgę, zesłanie na długoletni pobyt na Sybir i t. d.), jakie miały spotkać uczestników demonstracyi warszawskiej, podane przez pisma zachodnioeuropejskie, są zwykłą kaczką dziennikarską. Spłodził ją dziennik londyński „Morning Leader“, a wzięta z niego przez „Rheinisch-Westphalische Zeitung“ przedostała się do „Vorwärts'u“ i innych zachodnioeuropejskich pism partyjnych.

Bibliografia

Raboczeje Znamia. Organ rosyjskiej partyi socyalnodemokratycznej Nr. 2. Marzec 1900 r.

Nr. 1 tego pisma wyszedł był w r. 1898 z drukarni krajowej, która wkrótce potem wpadła w ręce żandarmów, Nr 2 więc drukowany jest zagranicą, ale wydawcy zapewniają, że NrNr. następne będą wychodziły już w Rosyi. Jakkolwiek Nr ten jest organem „rosyjskiej partyi socyalnodemokratycznej", to jednak i niektóre komitety (kijowski i inne południowe) „socyalnodemokratycznej partyi Rosyi" wzięły udział w jego wydaniu. Nr. robi bardzo sympatyczne wrażenie ze względu na swe wyraźne dążności polityczne, co, wobec kryzysu, jaki obecnie przeżywa socyalistyczna myśl rosyjska, jest bardzo ważnem. Z artykułu „Samodierżec wsieja Rusi" jako też z następnego „O co walczymy" widać, że rosyjska partya socyalnodemokratyczna dąży przedewszystkiem do obalenia samowładztwa carskiego. Redakcya uznała za stosowne zapoznać czytelników „Sztandaru Robotniczego" i z ruchem w Polsce, omawiając obszernie — jak na szczupłe ramy pisma — najwybitniejsze fakty z naszego życia partyjnego w ostatnich czasach. W odcinku zamieszczono znane czytelnikom „Wspomnienie" z przedednia wykonania wyroku na czterech członków „Proletaryatu".

O.

* * *

Niedola robotniczych kas chorych w Galicyi. Dokładny przekład interpelacyi posła Ignacego Daszyńskiego. Lwów 1900.

Broszura ta w wymownych słowach kreśli smutny stan galicyjskich kas chorych i niesłychane nadużycia w nich kliki defraudantów, protegowanych przez c. k. starostów. Tow. Daszyński przechodzi z kolei powiatowe i miejskie kasy chorych wszystkich miast galicyjskich i wykazuje przykładami, do jak potwornych rozmiarów dochodzą złodziejstwa i wszelkiego rodzaju nadużycia w instytucyach, któreby powinny były stać się dobrodziejstwem dla klasy robotniczej i które rzeczywiście są niem, o ile prowadzą je sami robotnicy, jak to jest w Krakowie, Lwowie i Przemyślu. Broszura tow. Daszyńskiego musi otworzyć oczy wszystkim robotnikom i pobudzić ich do walki o opanowanie tych „gniazd złodziejskich".

LUŹNE NOTATKI

Nadeszły wyroki na uczestników organizacyi „kijewskawo sojuza borby" aresztowanych na wiosnę 1898. Wymieniamy tu wyroki, odnoszące się do polaków. Kazimierz Szulakowski, student — 2 l. więzienia i 3 l. gub. Wołogodzkiej; Kazimierz Pietrusiewicz, adwokat — 2 l. więzienia i 5 l. Wołogodzkiej gub.; Adam Rabczewski, adwokat — 3 l. Wołog. gub.; Leopold Zaliwski, lekarz — 3 lata Wołog. gub.; Piotr Połoński — 2 l. więzienia i 3 l. Wołog. gub.; Wacław Klimowicz, student — 6 m. więzienia i 3 l. zesłania.

* * *

Jak donosi „Vorwärts" w ostatnich czasach zostały wzięte trzy tajne drukarnie, mianowicie w Wilnie, Mińsku i Witebsku. Prawdopodobnie były to drukarnie żydowskie, choć „Vorwärts" mówi o nich jak gdyby o rosyjskich. Zresztą pismo to jest systematycznie wprowadzane w błąd przez swych informatorów „rosyjskich", widzących *rosyjski* ruch socyalistyczny w Wilnie, Białymstoku lub Łodzi.

*
* *

W Jekaterynosławiu wzięto tajną drukarnię, z której wyszedł był jeden Nr pisma „Južnyj Raboczij“ — organ jakaterynosławskiego komitety socyalnodemokratycznej partyi Rosyi.

*
* *

Na południu Rosyi odbyły się w maju liczne aresztowania. W Jekaterynosławiu wzięto około 100 osób, w Kijowie (w nocy z 11 na 12 maja) tyleż, a w Odesie jeszcze więcej. Znaczne aresztowania były i Petersburgu.

*
* *

Jako dodatek do N⁰ 7 organu robotników petersburskich „Raboczaja Mysl“ wyszło tłómaczenie „Czerwonego Sztandaru“ na język rosyjski wraz z nutami. Przekład gładki, choć dość wolny. Charakterystyczne, że wydawcy nie uznali za stosowne wspomnieć ani słówkiem, że to nie jest pieśń oryginalna.

*
* *

Towarzysz prokuratora w Płocku Milewski (polak) denuncyował notaryuszów z powodu, że ci wbrew uchwale obok podpisów polskich nie podają w nawiasie tegoż nazwiska w języku urzędowym. W denuncyacyi swej Milewski nazwał język polski „inostrannym“ (cudziemskim), co wywołało drwiny nawet ze strony rosyan.

*
* *

„Praca“ poznańska — patryotyczny organ wielkopolski, nadzwyczaj rozpowszechniony w całym zaborze, zamieszcza portrety rosyjskiej pary carskiej oraz widok Kremlu wraz z entuzyastycznym opisem Moskwy. Jakby dla ironii N⁰ „Pracy“, w którym umieszczono te budujące wizerunki, poświęcony jest konstytucyi 3 go maja.

*
* *

Rząd pruski, rugując zewsząd język polski, ma widać zamiar zastąpić go w dalszej przyszłości... rosyjskim, bo oto np. kiedy wykłady języka polskiego mają być usunięte z gimnazyów w Księstwie, w Katowicach — jak pisze „Katolik“ — będzie zaprowadzona w szkole realnej nauka języka rosyjskiego.

*
* *

Dnia 1-go maja wyszedł w Chicago okazowy N⁰ pisma socyalistycznego p. t. „Robotnik“. O ile się da wnosić z treści numeru okazowego, nowe pismo będzie pożytecznym nabytkiem dla towarzyszy amerykańskich, tem bardziej, że ma być prowadzone ściśle w duchu programu P. P. S.

*
* *

W N⁰ 32 „Neue Zeit“ Edward Bernstein zawiadamia czytelników, że występuje z grona stałych współpracowników tego pisma. Oświadcza zarazem, że krok ten w żadnej mierze nie dotyka przynależności Bernsteina do obozu socyalistycznego, na korzyść którego i nadal chce on wedle sił i możności pracować.

*
* *

Piąty socyalistyczny kongres międzynarodowy odbędzie się w Paryżu w dn. 23—28 września r. b. W kongresie wezmą udział przedstawiciele socyalistycznych organizacyi, tak politycznych jak i zawodowych, uznających akcyę ustawodawczą i polityczną. Anarchiści są zatem wykluczeni od udziału.

Pokwitowania

KOMITETU ZAGRANICZNEGO P. P. S.

za czas od 30 kwietnia do 31 maja r. b.

Na fundusz partyjny: Opłaty członkowskie: Londyn Oddział — 10 sh. 6 p.; S. n. 2 — 15 m.; L. Ad. Św. — 7 m.; Chemn. S. Wiśl. — 2 m.; S. Fraucisco: P. Pędras — 75 c.; J. Saski — 75 c.; S. a. 3 — 7 złr. 50 ct.; Fryb. J. M. M. — 4 fr.; Z. S. — 3 fr.; W. Brózda — 3 fr.; K. Przyb. — 2 fr. Składki nadzwyczajne: Brun. od szlagona na agitacyę — 4 m.; zamiast honoraryum lekarskiego — 5 złr.; Al. Wroński — 4 f. szterl.; W Walthamstow — 9 f. szterl; Fryb. na ew. reparacyę nowej maszyny — 1 fr.; Kowalski a conto pożyczki od Dolskiego — 1 dol.

Na codzienny „Naprzód“: F. Juraszek, Elisabeth — 1 dol.; W. M. Gajewski, N. York — 50 ct. am.

Od tow. A. F. Kowalskiego za tow. St. Styczyńskiego pren. Przedświtu w 1899 r. — 1 dol.

Odpowiedzi od Redakcyi

Artykuł o strejku górników polskich musieliśmy z braku miejsca odłożyć do następnego Nr.

Tow. K. Sk. w Z. Przyszło zapóźno.

Ogłoszenie

Pod prasą nadzwyczaj ważna broszura o działalności Polskiej Partyi Socyalistycznej (zaboru rosyjckiego) w ciągu ostatnich pięciu lat.

ARCHIWUM POLSKIEJ PARTYI SOCYALISTYCZNEJ

W LONDYNIE

uprasza towarzyszów o dostarczenie następujących braków:

Naprzód r. 1893 — Nr 8; r. 1899 — Nr 4.
Nowy Robotnik (Lwów) r. 1894 — Nr 4.
Robotnik (Lwów) r. 1897 — Nr 38.
Ognisko (Lwów) r. 1897 — Nr. 26.
Bocian r. 1892 — Nr 2 do 13 oraz 15 i 16.
Bulletin de l'Egalité (Genewa) Nr 3 do 6.
Neue Zeit r. 1889 — Nr 10 i 12.
Siła r. 1897 — Nr 64, 68 i 69; r. 1899 — Nr 1.
Postęp r. 1898 — Nr 1 do 6, 11, 20 i 42; r. 1899 — Nr 3 i 4.

Prosimy wszystkich towarzyszów o dostarczanie do Archiwum Polskiej Partyi Socyalistycznej wszelkich druków, dotyczących socyalizmu wogóle, *a zwłaszcza polskiego ruchu socyalistycznego.*

Również prosimy o przesyłanie nam *wszelkich* wydawnictw, dotyczących spraw i stosunków społeczno politycznych w Polsce.

Przesyłać można albo wprost na nasz adres, albo też (z zaboru rosyjskiego) na znane Towarzyszom adresy prywatne.

Printed and published by J. Kaniowski, 67 Colworth Road, Leytonstone London N. E.